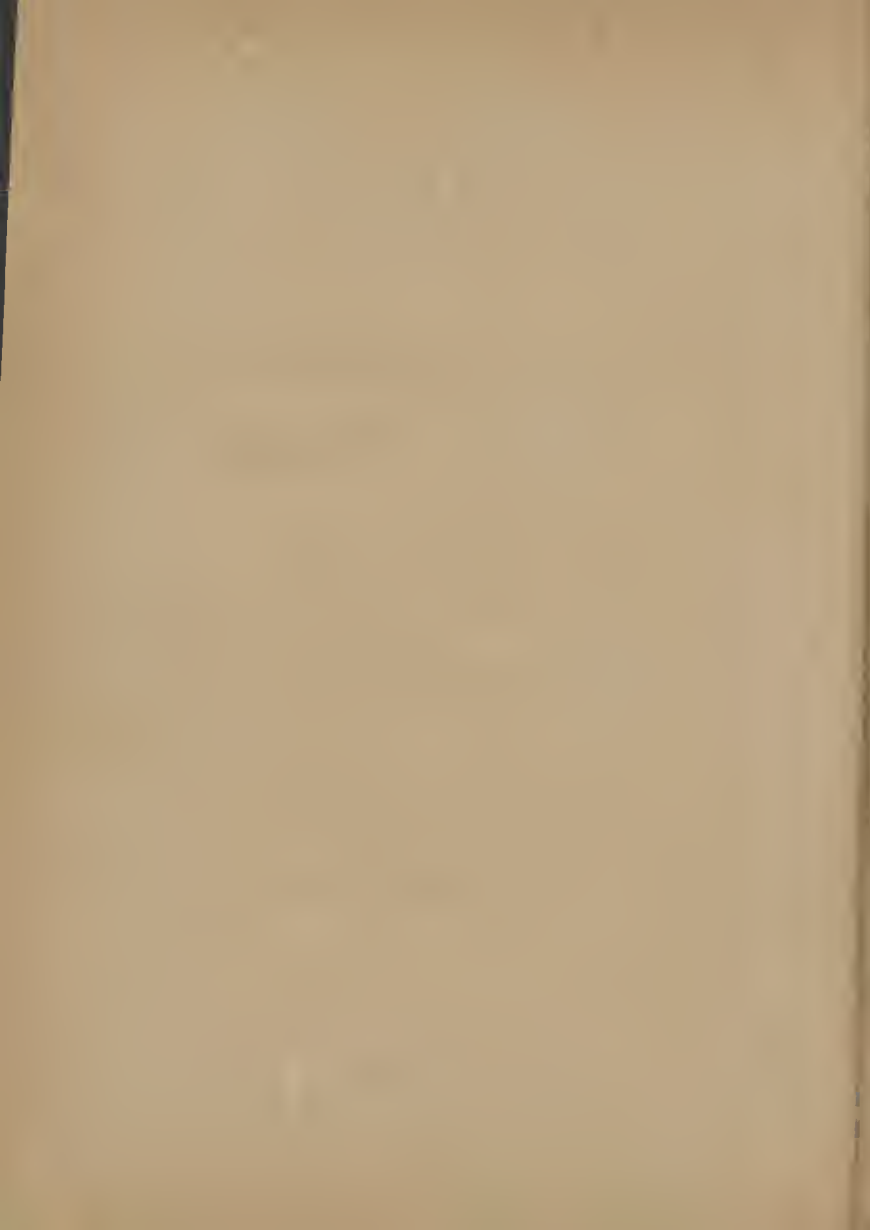


WYBÓR POWIEŚCI  
J. I. KRASZEWSKIEGO.

(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom czterdziesty ósmy



ADA.

SCENY I CHARAKTERY

Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

1885.

Доволено Цонвурою.  
Варшава, 5 Июля 1884 года.

Bytność majora w Ruszkowie nie pozostała bez skutków. Ze sposobu jakim był przyjęty. z krótkiej rozmowy na osobności z p. Robertem, z różnych pomniejszych oznak, ludzie zaczęli wyciągać rozmaite wnioski. Niektórzy bojaźliwsi. zostawiali je przy sobie; inni. których interesom zagrażała zmiana stanu i bytu panny Ady, zaczęli się niepokoić. szeptać i myśleć o środkach zapobieżenia temu co im się zdawało zagrażać.

Być może, iż bystre oko Ady dostrzegło pewnych oznak tego niepokoju — może też ona sama nękała się siebie i uczuła jakies niebezpieczeństwo... następnych dni otaczający ujrzeni ją inną niż od dawna widywali. Stan to był, do którego nieraz już wracała i wychodziła z niego, stan rozgorączkowania jakiegoś, w który wpadłszy szukała gwałtownie pochłaniającego zajęcia, celu w życiu — czegoś, coby ją oderwało od rzeczywistości.

Z rana zawołano Oblęckiego, — panna Pretwiczówna była już w bibliotece, w której się piękny zbiór jej sztychów znajdował. Siedziała z brwią namarszczoną nad rozłożonemi tekami... w złym humorze... groźna i straszna.

— Zbiór sztychów jest tak ułożony, zawołała, że ja w nim nic znaleźć. ani studyować nie mogę. Nigdzie na świecie, oprócz u kolekcjonistów co dla rylca zbie-

rają ryciny. nie znajdziesz pan tak ponkładanych. według sztycharzy... Mnie ci panowie nie obchodzą, ale szkoły, kompozycye, myśl. Sztychy powinny być według mistrzów i szkół poukładane... Sztycharz jest tłumaczem, któż bibliotekęby uporządkował dając im przed autorami pierwszeństwo?!

— Ale — pani — odezwał się nieśmiało strwożony Oblęcki—pani pozwoli sobie przypomnieć, że wolą jej było własną, aby na wzór innych zbiorów...

— To być może, odparła żywo Ada, ale pan jako artysta, powinienes mnie być zreflektować, naprowadzić. Było to ślepe naśladownictwo. Każdy zbiór winien być układany według celu, do którego służy, wedle myśli tego, co go używa... ja się wcale nie interesuję sztycharstwem. Tu wszystko w bezładzie i zamieszaniu...

— Więc ja się natychmiast wezmę do nowego rozkazu—rzekł Oblęcki przysuwając się ku tekom...

— Tak! i to będzie rok, ja nie wiem, co najmniej kilka trwało miesięcy. a tymczasem pan wiesz... mnie odejdzie ochota od tych studyów...

— Czy ja winien jestem? wybąknął Oblęcki.

— Ani ja—odezwała się cicho panna Ada;—pan jesteś winien — boś powinien był obstać przy innym porządku. racjonalniejszym... A teraz...

— Ja będę siedział dzień i noc — jeśli pani każe... będę śpieszył—rzekł Oblęcki.

— Dajże mi pan pokój z tą swoją gotowoscą do ofiary! W nocy siedzieć nie można. bo ja światła do biblioteki wnosić nie dozwolę...

To mówiąc wstała panna Ada i zaczęła się żywo przechadzać po pięknym gmachu biblioteki. Była to w istocie sala może w całym pałacu najwspanialsza, na dwa piętra wysoka. otoczona balkonem do koła, a w środku zawierająca w ogromnych niskich szafach. ów zbiór rycin, jakiego może w kraju drugiego nie było.

Kilkadziesiąt tysięcy wielkim kosztem nabytych najrzadszych sztychów, rysunków, zbiorów rycin z galerij różnych, rzadkości i osobliwości przepłacanych. składało się na tę kolekcję, którą po kilkakroć namiętnie panna Ada dopełniać się starała.

Ta miłość i zapal do sztuki przychodziły jej nagle, namiętnie. trwały czasem kilka tygodni. i odchodziły tak niespodzianie. jak przyszły. Z dnia na dzień, obojętniała zupełnie i nie zaglądała potem do swego zbioru długo, aż jakieś przypomnienie, fantazyja, znowu ją ku niemu zwróciły. Tak było i teraz właśnie.

Oblecki stał zmartwiony. nie wiedząc co porząć... Panna Ada jakby zapomniawszy o nim, parę razy przebiegłszy salę. którą oczyma roztargnionemi mierzyła, nie mówiąc już nic, oddaliła się. Malarz został nie wiedząc na pewno, czy miał się wziąć do nowego układu... czy czekać stanowczych rozkazów.

Z biblioteki poszła do ogrodu i oranżeryi. z której kwiaty były powynoszone... Upodobanie w rzadkich roślinach, tak samo jak w rycinach. napadało ją paroksyzmami i odstępowało... Stary Habicht przechadzał się pomiędzy wazonami. które zawsze równą kochał miłością. gdy ujrzał wpadającą nagle panią. oczyma niespokojnemi przeglądającą drzewa. krzewy i nagromadzone osobliwości. posprowadżane z Gandawy i Erfurtu. Nawykły był do tej obcesowej miłości i fantazyi panny Ady. i uchyliwszy czapeczki śpieszył na jej spotkanie.

I tu nie znajdowała ona nic po swej myśli.

Proszę cię. panie Habicht. spytała: czy tego roku nic nowego nie zapisaliście od van Honten'a? Jakże można zaniedbać tak zbiory nasze? Pan wiesz. że co nie postępuje, to upada. Nawet nasiona dojrzewające w naszym klimacie i w naszej niedołężnej hodowli, przeradzają się. maleją...

— Nie miałem rozkazów od pani! rzekł spokojnie Habicht.

— A czyż na to moich, wyraźnych trzeba rozkazów? odparła dosyć kwasno piękna panna, chodząc żywo pomiędzy doniczkami, które suknią obalała, a w ślad za nią spokojnie kroczący Habicht flegmatycznie podnosił. — Pan masz przecie upoważnienie...

— W tym roku — dodała — wszystko mi się mizerniejsze wydaje — a tak pospolite, znane... Wszakże to już po wszystkich szlacheckich dworach i plebaniach tego pełno... Portulaków nie cierpię... A! lilie! ale zawsze też same...

Wszystko jedno a jedno... żadnej nowości. Można zbrzydzić sobie kwiaty...

Habicht milczał uparcie. Stary, doświadczony człek, wiedział bardzo dobrze, iż odpowiadanie drażniło, i że słuszności mieć nie będzie...

Odwróciła się ku niemu Ada, i spostrzegła na starej jego twarzy łagodny wyraz jakby politowania. Rumieniec oblał ją; nie mówiąc słowa, przesunęła się dalej i żywym krokiem skierowała ku parkowi.

W dwóch kieszeniach miała, wychodząc wzięte dwa tomy... nowości. Jeden z nich był książką pseudo-filozoficzną, jakich francuzka literatura mnóstwo wydaje, drugi nową powieścią pani Sand. Wyjęła najprzód filozofię i kartki jej zaczęła przewracać niecierpliwie, zatrzymując się na niektórych, potem wpędzić z niechęcią je rzucając, by przejść do innych...

Usiadła na ławce... chciała się zmusić do czytania — zaczęła od pierwszej karty. Usiłowanie było daremne — książka była jedną z tych, w których umysł żywszy i logiczny może śmiało kilkadziesiąt kartek ominąć, wiedząc z góry drogę, jaką autor będzie prowadził, nieskończenie kołując, aby dojść do tego, co by się lepiej w kilkunastu wyrazach powiedzieć dało... Czytanie — stało się niemożliwem.. Rzuciła na kolana po jakimś czasie książkę i zatopiła się w myślach — dla kogo ona pisana być mogła? Dla tych co nic a nie



nie umieli była za rozzumną; dla tych co umieli coś — nie przynosiła nic nowego. Tytuł i imię autora zawiodły... Z westchnieniem jeszcze raz obejrzawszy spis rozdziałów, który stał za książkę całą — położyła ją na ławce.

Kolej przysłała na powieść. Tu czar pięknego stylu i formy — wykonanie szczegółów stanowiły wartość całą. Z pierwszych zarysów wątek można było odgadnąć — lecz za urokiem słowa... można przynajmniej iść było ze znudzenia... Było to coś naksztalt muzyki... która robi wrażenie, choć myśli określonej. jasnej wydobyć z niej niepodobna... Heroína powieści obdarzona była przez autorkę energicznym charakterem. podobało się to przecie Adzie — lecz ona najlepszym sędzią być mogła tego charakteru skutków w zetknięciu się ze światem i oddziaływania zewnętrznych wpływów na duszę. Jakkolwiek pozorną logiką przyodziane fakta, które wychodziły z ram i warunków powszedniego życia — wydały jej się nieprawdopodobnymi. Ada brzydziła się wszystkim co było jaskrawe, krzykliwe, teatralne; znajdowała, że przyzwoci ludzie — ne cassent les vitres jamais, i że cierpiąc najmocniej, można i powinnością jest nie krzyczeć. Krzyk zwabia tłum i wywołuje szyderstwa. nie umniejszając bólu — nie lecząc choroby...

Wkrótce też heroína i powieść znecierpliwiły ją. Z niechęcią, raz jeszcze zawiedziona, wsunęła książkę do kieszeni i zapatrzyła się na drzewa. na krajobraz — na zielone gąszcze co ją otaczały. w których mnóstwo ptastwa swiergotało...

Wzrok jej błdził jakby szukając, dopraszając się zajęcia — myśli, lekarstwa. Ta czerzosc życia, której doswiadczała czasami, ciężyla jej dnia tego całem brzemieniem nicości, ciemności. Brak było powietrza piersi do oddychania, myśl nie miała się gdzie obrać, szła i powracała, nie znalazłszy drogi. nie mając pobudki by iść dalej.

Przebiegła tą myślą rozmaite przedmioty, żaden jej ku sobie nie pociągał — gniewała się na siebie...

W tym stanie rozdrażnienia będąc, usłyszała skrzypienie lakierowanych trzewików, po których poznała łatwo zbliżanie się ks. kanonika... Gdyby była mogła, uciekłaby, aby w tej właśnie chwili nie zostać do rozmowy zmuszona; ale kanonik już był o kilka kroków, widział ją i zmierzał ku niej. Szybko tylko filozoficzny tomik wsunęła do kieszonki. i czekała.

Coś jej mówiło, że ks. hrabia de Bello. nie bez celu ścigał ją do ogrodu... że potrzebował rozmówić się z nią na osobności... Twarz jego smutna, surowa, namarszczona. troskę jakąś zdradzała. Zbliżając się jednak, złagodził swe oblicze, i uprzejmie, dobrotliwie powitał wpatrując się z ojcowską pieczołowitością w twarz Ady, która egzaminem tym zaniepokojona zarumieniła się...

Kanonik przysiadł na ławce...

— Darniesz mi. kochana pani... Jako troskliwy ojciec duchowny — szukałem jej. przeczuwając w duszy, że możesz potrzebować słowa otuchy i orzeźwienia... Od dni kilku jesteś jakby cierpiąca.

Ada zamilkła z razu, myśląc czy się przyznać ma, czy zamilczeć. Duma ją skłoniła do nietajenia się ze stanem. który ks. kanonik tak dobrze odgadnąć uniał.

— Cierpiąca? o! mój ojcie, odpowiedziała z wolna spokojnie z pół uśmiechem bolesnym — cierpiąca? a kiedyż człowiek nie cierpi? W mojem położeniu życie jest nienastanną walką. a walka musi być mieszaną z boleścią.

— Tak — odparł kanonik — ale ją trynnf osładza. Najpiękniejszym zwycięstwem jest to, które człowiek odnosi sam nad sobą.

— Trwa ono chwilę tylko — odezwiała się Ada — bo walka ze śmiercią się dopiero kończy...

Pomilczawszy czas jakiś. kanonik popatrzał na Adę i począł:

— Mówmy szczerze, droga pani — mówmy jak najotwarciej. Zdaje mi się. że ta walka i cierpienie wzmogły się może jakimś uczuciem, które się niepotrzebnie wplątało .. i zatruwa ci chwile...

Ada zarumieniała się.

— Uczuciem? jakimże?

— Jest to uczucie naturalne, na pozór niewinne... którem częstokroć człowiek jest kuszony — rzekł kanonik.—które mu się wydaje nietylko nie grzesznem— ale błogosławionem... Będę otwarty jak dyrektor sumienia, jak lekarz duszy... Każdej innej niewieście, w którejby się ono obudziło, powiedziałbym: — Idź za niem, niech kościół je pobłogosławi. niech się spełni przeznaczenie twoje. Naszej Adzie, która jest wyjątkową istotą wśród płci swojej, której przeznaczenie jest wyższe, świętsze, wznioslejsze —powiem—otrząśnij się z tego co cię gwałtem sciąga w błoto ziemi, w kurzawę pospolitego tłumu...

— Ojcie mój — odparła jakby urażona Ada — nie wiem zkąd ta myśl ci się narzuciła... Mogłażem ja mojem postępowaniem ją wywołać? To niepodobieństwo! Mylicie się mój ojcie—szczęściem dla mnie—na ten raz troskliwość wasza niebezpieczeństwo urojone dojrzała — nie ma go... Posądzacie mnie chyba o jakieś przywiązanie, o rodzącą się namiętność... ale ja nic podobnego nie mam sobie do wyrzucenia! Nic! nic!

Mówiła gorąco. lice się jej paliło. kanonik bacznie się wpatrywał.

— Dziecię moje—odezwał się—bo mi cię wolno nazywać tem imieniem... Lekarzowi mówić może chory, iż zdrów jest. — cóż potem, gdy symptomy słabości zdradzają? Tak jest z tobą. Sama nie wiesz o stanie swoim, heroicznie się mu broniysz... walczysz —zaprzeczasz własnemu sercu—nie wierzysz w chorobę... a ona

tobą owłada, ona ci grozi, obejmuje... Jesteś nad brzegiem przepaści!

— Przepaści! krzyknęła panna Pretwiczówna — mój ojciec na Boga — ja? Jakież pojęcie macie o mnie?

— A! nie ma może na świecie kobiety, o którejbym większe miał pojęcie, którąbym cenił wyżej — lecz są chwile w życiu, w których i święci upadają... Ratunkiem naówczas gdybym, gdy pokusa jest nad siły — ncieczka — oderwanie się...

Ada wstała porywczo, z pokornej penitentki przed chwilą. zmieniając się w niewiastę obrażoną. Usta jej drżały, chciała mówić, powstrzymywała się. była rozgniewana i czuła. że się gniewać na duchownego nie miała prawa...

— Proszę mi tę zagadkę wytłómaczyć na Boga! zawołała głosem poruszonym... Dla mnie to wszystko jest niezrozumiałe, i dotyka mnie tem mocniej, że się czuję całkiem niewinną... Mówmy jasno, księże kanoniku. co — a raczej kto mi grozi tym upadkiem — mnie! mnie!

Z dną ręką wskazała na piersi, nśmiechnęła się pogardliwie i powtórzyła: — mnie!

— Moje dziecko — to co dla ciebie ja zowie upadkiem — dla innej osoby byłoby ratunkiem... Ja mierzę cię miarą wyjątkową, mówiłem już...

— Lecz, na Boga — słowo tej zagadki! księże kanoniku — słowo zagadki! Co? kto, gdzie mi grozi?... Proszę mówić jasno i bez oszczędzania mnie.

Prałat nie mógł już się wycofać.

— Jawnem to jest dla wszystkich co cię otaczają. dla mnie też — iż masz wyraźną słabość, niewytłomaczoną skłonność, pociąg — może poczynającą się miłość dla tego... nieszczęśliwego Roberta.

— Ja? miłość? dla Roberta? dla tego na pół dziecka? Kanoniku! godziź się to coś podobnego powiedzieć? Jestże on parą stosowną dla mnie? śmiejąc się

dziwnie, smutnie odparła Ada. — Ale to jest — przepraszam najdziksze w świecie przywidzenie!..

Nie wolno mi więc zbliżyć się, przemówić, życzyliwą być komuś, abym natychmiast nie była posądzona o namiętność! Jestem tak skłonna do zakochania? Widzieliżście kiedy co podobnego we mnie?..

Prawdziwie — mogłam się takich posądzeń spodziewać od wszystkich w świecie — tylko nie od was księże kanoniku — co znacie życie moje!..

Kanonik słuchał i milczał, zimny, a co dziwniej, jakby wcale nie przekonany.

— Jeżeli się omylił, odezwał z pewnym rodzajem przekąsu — bardzo się cieszyć z tego będę, przeproszę... upokorzę się; lecz zdaje mi się, że pomimo tej gorącej protestacyi, jam się nie omylił, a piękna, dobra, zacna penitentka moja myli się sama, nie znając stanu serca swojego...

Ada poruszyła się w miejscu, jakby ją pocisk dotknął jakiś, krew biła jej do głowy!..

— Nie jesteśmy przy konfessyonalu, księże kanoniku, rzekła — ja w tej chwili penitentką nie jestem, ale pełną szacunku sługą księdza hrabiego, która się czuje obrażoną posądzeniem, bo ono nietylko nie ma najmniejszej podstawy — ale — jest śmieszne..

Kanonikowi twarz się pofałdowała, brwi zgięły, marszczki wystąpiły na czoło, twarz zwykle zastygła skrzywiła się namiętnie prawie... To zepchnięcie go z konfessyonalu na salonową posadzkę — było wypowiedzeniem posłuszeństwa... Milczał zbierając się na odpowiedź.

— Jak tylko schodzimy na ten grunt... rzekł zimno — nie pozostaje mi nic, tylko najpokorniej przeprosić i zamilczeć.

— O! to nie dosyć! zawołała Ada — ja chcę i mam prawo wiedzieć, co dało powód do posądzenia, wyroku i przestrogi!..

Suknia moja — zdaje mi się — uwalnia od tłómaczeń podobnych... Bóg nam zsyła natchnienia... jeżeli zaślepieni ludzie ich nie przyjmują — tem gorzej dla nich. Godność kapłańska nie dozwala się uniewinniać; kto nas odtrąca... zostawiamy go siłom własnym i jego przeznaczeniu...

To mówiąc powstał z wolna, jakby chciał odchodzić, ale po ruchach opieszalnych znać było że się spodziewał iż go powstrzymają — że Ada przełękła nareszcie upokorzy się, przeprosi...

Omylił się jednak: duma kobiety czującej się niewinną zarazem i zagrożoną rodzajem niewoli, obudziła się w niej zbyt żywo...

Kanonik skłonił się, panna zdała oddała mu ukłon, z widocznym wyrazem bólesci i gniewu... Odejść ją w tem usposobieniu zagrażało przyszłym stosunkom. Kanonik widział, że trzeba było tę scenę do łagodniejszego sprowadzić zakończenia, i rzekł głosem spokojnym:

— Jeslim się pani naraził — proszę wierzyć, że pobudki miałem najczystsze, natchnione dla niej miłością chrześcijańską, troskliwością ojcowską...

— Tak, i podejrzliwością prawdziwie niemiłosierdną — upokarzającą mnie, oburzającą — zawołała Ada nie mogąc się uspokoić... Więc przez tyle lat, patrząc na moje postępowanie, ksiądz kanonik nie nabrał dotąd zafania w mym charakterze?... Przychodzi mi rozpaczyć, abym je kiedy zdobyć mogła...

Ton ten pozostawiał księżdz tylko dwie ostateczności: albo odwołanie i przeproszenie za to, co się osmiesił powiedzieć, lub wystąpienie z piorunami, grozą, wymową. Cofnąć się nie dozwalało mu usposobienie, nawyknięcie, zasady; zmarszczył więc brwi mocniej jeszcze i wystąpił podnosząc rękę do góry, jakby istotnie gromił penitentkę u konfessyonału:

— Nieopatrzna, nieszczęśliwa, zaślepiena, biedna niewiasto... twój gniew dowodzi przeciwko tobie — żem

ja miał słusznosc, że cie niewidzialnemi pety objęła namiętnosc, dla ktorej gotowa jestes odepchnac niewygodnego doradce sumienia, starego przyjaciela, wiernego sluge... Sądysz, że się usta moje znużą pochlebstwem i fałszem? Nigdy... Idę ztąd, bom tu niepotrzebny—bo nie chcę być świadkiem jak kłamstwo zadasz życiu całemu... a jeśli ze łzami i skrucą mnie powołasz — przyjdę... niestety! po czasie może dla ratunku...

To mówiąc kanonik zwrócił się żywo, w najmocniejszym przekonaniu, że zostanie odwołany, zakłęty, przepraszony, i że w skutek tego Robertowi drzwi się zamkną. Stało się czego nie mógł przewidywać... Postąpiwszy kilka kroków prędko, zwolnił chodu, ciągle nasłuchując. — Panowało milczenie. Ada upadła na ławkę, twarz wsparła na rękach, patrzyła oczyma zaognionemi w dal... potrzebowała ochłonąć z gniewu i wzruszenia!.. Oburzona była tak na kanonika, iż nie wahała się z nim choćby zerwać... Przez myśl jej przeszło—sprowadzić ubożuchnego księżyńkę jako kapelana i doradce sumienia — i nie dać nad sobą więcej przewodzić...

Tymczasem zawiedziony i mocno tem zmieszany ks. de Bello, kroczył ulicą, myśląc co pocnie? Ze stosunkami, jakie miał z tym domem. łączyły się zbyt ważne i wielkie interesa, by się mógł wyrzec ich łatwo. Potrzeba było, nie dając ranie się zaognić, goić ją natychmiast. Jak? nie wiedział sam. Instynktem raczej niż wyrozumowaniem skierował się ku mieszkaniu panny Hortensyi... Zastukał do jej drzwi, gdy, jak zwykle, siedziała przy korespondencyi; poznała go po owem skrzypieniu trzewików i wybiegła. Dość było spojrzenia na twarz kanonika, by się domyślić, że nie był w zwykłym stanie ducha. Oprócz tego panna Hortensya wiedziała, iż zamierzał otwarcie się rozmówić z panną Adą.

— Co się stało? zawołała całując go w rękę.

Kanonik padł na fotel.



— Stało się czego nikt w świecie przewidzieć nie mógł — stało się, że ja rozgniewał zamiast upamiętać, że rozstaliśmy się tak, jakbym tu więcej nie miał powrócić, póki mnie nie powoła... A nie powoła mnie ani rychło, ani łatwo.

Ksiądz westchnął spuszcżając głowę, a Hortensya ręce załamała.

— Boże mój miłosierny! Ta kobieta... straciła już wszelkie... wszelką... Co począć? Mamże iść do niej? mam ją próbować opamiętać, choćbym się narazić miała? Idę...

Zdawał się namyślać kanonik.

— Nie — odezwał się — nie. Przy najlepszych chęciach — najmniejsza niezręczność, jedno słowo, mogłoby pogorszyć stan ten jeszcze. Trzeba ją zostawić własnemu sumieniu. Ja spełniłem powinność. Pani tu zostajesz na straży... Oko potrzeba mieć na wszystko. Nie rozpaczam jeszcze, lecz wyznaję, takiej zapamiętałości i uporu się nie spodziewałem ..

— Uporul... rozśmiała się szydersko panna Hortensya — to chyba ks. kanonik jeden w swem anielskiem sercu nie poczuł tego, że to jest w całym świecie najupartsza, najprzekorniejsza kobieta... przy całej swej dobroci, doskonałości... i świętości — poprawiła panna Trocka.

Po tym ustępie — milczenie nastąpiło; kanonik był jakby wysiłony i znużony; panna Hortensya, która sama się leczyła wodą pomarańczową, podała mu szklankę napoju nią zaprawnego...

Zaczęto ciszej i spokojniej roztrząsać co czynić wypadało, jak dalej postępować i doprowadzić do zgody, o którąby duchowny nie potrzebował prosić. Panna Hortensya podjęła się pośrednictwa, zaręczając najuroczyściej, że zachowa zimną krew i złośliwością zbytnią nie podrażni Ady. Kanonik musiał natychmiast wyjeżdżać — aby okazać, że nie uległ i folgować nie mógł...



Gdy godzina obiadowa nadeszła, i wszyscy już byli zgromadzeni na pokojach, naostatkę wyszła ze swego apartamentu Ada. na pozór uspokojona zupełnie. z twarzą wypogodzoną. Krok jej jednak żywszy był. niż zwykle i ruchy niecierpliwe choć hamowane. Zbliżyła się do Hortensyi... która trwożliwie niemal spojrzawszy na nią. nie wiedziała o czem mówić...

— Kanonik? zapytała gospodyni.

— Kanonik wyjechał przed chwilą—odpowiedziała panna Hortensya. udając nieświadomą: kazał mi prze-prosić. że bez pożegnania musiał dla spełnienia jakichś pilnych obowiązków... jechać do Brześcia.

Nie odpowiedziała na to nic Ada—zasiadano do stołu—zwróciła się do Oblęckiego.

— Przepraszam pana Mirosława—rzekła—żem wyszła zapomniawszy mu powiedzieć. że sztychów może nie trzeba układać na nowo. Rozmyśliłam się... Zbyt wiele pracy około tego, a któż wie czy ja nieć będę czas z niej korzystać? Być bardzo może, iż tego roku wyjadę na czas dłuższy—za granicę...

Pułkownik. który o tem dotąd nie słyszał. niespokojnie podniósł oczy z talerza i spojrzął na panią.

— A — toby może należało się do tego przygotować? odezwał się cicho.

— Ale nie, pułkowniku—nie ma jeszcze nic pewnego! Wiesz. że ja jestem samowolna i kapryśna... Zresztą czyż u ciebie nie jest zawsze wszystko w gotowości? Proszę cię. żadnych przygotowań. Sama nie wiem co zrobić. Znasz mnie.

Zwróciła się ku Oblęckiemu. który miał twarz zmienioną..

— Ale ja — ja już wszystko poprzewracałem — i — rozpocząłem — rzekł niesmiało.

Ada pomyślała.

— No — to kończ pan. jeśli tak jest. Chciałam mu pracy oszczędzić dla mojego kaprysu.

— A! to żadna praca! to największa rozkosz dla mnie — rzekł artysta... Jestem szczęśliwy. mogąc znów przebiedz oczyma te skarby...

Tak — szepnęła gospodyni — dobrześ powiedział: jestem szczęśliwy. szczęśliwszy może. niż ci się zdaje... Masz w życiu cel jeden. masz wielką miłość sztuki... masz nienastanne pragnienie... Możeż człowiek żądać więcej? Jestże co okropniejszego, niż zamierać bez pragnienia. bez celu i bez przywiązania do niczego!

Wyrazy te wyrwały się jej jakby mimowolnie, a gdy przebrzmiały. sama się trochę ich zarumieniła i obróciła je w żart. Oskarżony o szczęśliwość Oblęcki, oczy zwrócił ukradkiem na pannę Karolinę. potem spuścił je na sztukemięsa i zadumał się...

Panna Hortensya śledziła każdy ruch i słowo kuzynki. napróżno w nich szukając zgryzoty sumienia z powodu zerwania z kanonikiem. Zdawało się dla niej niepojętem. że Ada tak lekko to brać się zdawała. Była ożywiona. niemal wesoła. chwilami szyderska. Gdy od stołu wstali, wyszła z Karoliną i kuzynką pod werandę, nie unikając oczu. zaczęła rozmowę o ogrodzie, o rzeczach obojętnych — słowem zgryzota sumienia wcale się nie objawiła.

— Komediantka doskonała! mówiła sobie w duchu panna Hortensya... Na największą i najstraszniejszą jednak dnia tego próbę, wystawiło pannę Adę przybycie po południu Roberta...

Przyjechał on. nie wiedząc o niczem, nie domyślając się niczego, z tym złotym humorem młodości, z tą swą prostotą czasem do ślepoty posuniętą, która mu szczególnie powab nadawała... Gospodyni go przyjęła, bez najmniejszej zmian w obejściu się z nim. z uprzejmością zwykłą. może nawet myślnie spotęgowaną. i ze swobodą umysłu zupełną.

— Gdzieżeś pan bywał. co porabiał od wyjazdu ojca. żeś o Ruszkowie zapomniał? odezwiała się wesoło...

— A! pani — gospodarstwo temu winne, uśmiechając się rzekł Robert. W czasie pobytu ojca musiałem je trochę zaniedbać, znalazły się tysiące rzeczy do zrobień... drobnych kłopotów... poprawek... Nie mogłem się ruszyć, a mnie tak było tęskno osieroceniemu — tak pusto w domu — że rad byłbym się wyrwał z niego...

— Bardzo z pana przykładny gospodarz! pochwaliła Ada...

— A cóżbym ja na świecie mógł innego robić. jeżeli nie hreczkę siać? odparł Robert — nie nniem więcej nic—i na nic się nie zdałem...

— Co za skromność! złośliwie syknęła panna Hortensya.

Robert spojrział ku niej łagodnie i bez urazy.

— Niech pani wierzy, że się do tego poczuwam co mówię! odpowiedział.

— A to źle—przerwała Ada—mężczyzna powinien wysoko patrzeć i sięgać...

Te dwuznaczne wyrazy. wywołały niezmiernie zdziwione spojrzenie Hortensyi na gospodynię — miłą osobliwą i potrząśnienie głową.

Robert na to odpowiedział:

— Komu starczą siły, zapewne — ja nie czuję się godnym niczego więcej nad to, co jest mojem przeznaczeniem. I sieję i siać będę hreczkę...

— To przynajmniej pszenicę! wtrącił pułkownik... Rozśmiano się.

— Ja mam o panu daleko lepszą opinię — dodała Ada; — brak panny tylko woli i ochoty... Czy to nasze rodzime lenistwo? przyznaj się...

— A może—zawsze wesoło mówił Jazyga. — ja nie wiem...

— Jabyś sądziła. że to ono się w tę pokorę obszywa. mówiła Ada — porachuj się pan z sumieniem...

Robert ramionami ruszył—ona ciągnęła dalej:

— Pau nie jesteś leniwy do ruchu, do pracy ręcznej, do myśliwstwa, do konia — ale masz rodzinny też wstręt do innego trudu...

— Bom się do niego nie wdroył za młodu — rzekł Robert.

— Co to jest — za młodu — jak gdybyś pan już młodym nie był? zaprzeczyła gospodyni.

— Tak bardzo młodym nie jestem — odezwał się Robert; o! ho! wcale... wcale...

Pułkownik począł się śmiać do rozpuku i pocałował go...

— Doskonały jesteś — mój drogi sensacie...

Rozśmiała się Ada, zniecierpliwiła tą lekką rozmową wesołą Hortensyą. Nie mogła sobie wytłómaczyć tego, jak po scenie z kanonikiem, tegoż samego dnia Ada mogła być tak zupełnie swobodna i uśmiechnięta.

W chwilę potem złożyło się tak, że towarzystwo zostawiwszy pod werandą, panna Ada rozmawiając z Robertem wyprowadziła go do sali przyległej, i chodząc po niej długo z nim, do nadzwyczajnego stopnia zniecierpliwiła pannę Hortensyę.

Kuzynka siedząc na balkonie, przez okno widziała ruchy, uśmiechy, całą mimikę poufalej konwersacji. mimo największego natężenia słuchu, nie mogąc z niej pochwycić ani jednego słowa. Skazana była na domysły najdziwniejsze, a że Ada nie mogła nie wiedzieć, że na nią oczy Hortensyi są zwrócone, nie mówiąc o pannie Karolinie i pułkowniku, w duszy nazywała ją — bezwstydną. Robert wydał się jej uszczęśliwionym, ożywionym, rozmarzonym — mógłżeby takim być, gdyby go oczy i wyrazy Ady w ten stan ekstatyczny nie wprowadziły?

— A! myślała kuzynka — tak więc już stoją rzeczy! zaszliśmy tak daleko! tak daleko, że najgorętsze ostrzeżenia tylko pobudzają do coraz wyraźniejszego naigrawania się z tego co ludzie pomyślą! Brawując

więc umyślnie, z zamiarem... brawuje popisując się ze swoją słabością bez wstydnie... A! tego już nadto! tego nadto...

Rozmowa trwała jeszcze w salonie, przerywana niekiedy uśmiechami i głośniejszemi wykrzyknikami Roberta, gdy panna Hortensya, złożywszy robotę, którą zwykła była mieć zawsze w ręku nigdy w niej nie czyniąc postępu — wyszła z werandy, mijając Adę oświadczyła jej, że ją boli głowa, prosząc o przysłanie herbaty do pokoju, i pośpieszyła do swej korespondencji. Była ona pilna i musiała być obszerna, bo panna Hortensya powiedziała sobie, że miałyby na sumieniu, gdyby familii nie dała znać o wypadku przybierającym coraz większe znaczenie... Oprócz tego kanonikowi pilno jej było dać wiedzieć, jak ten dzień upłynął wesoło, który winien był zejść we łzach i pokucie...

Panna Ada, chociaż zostawiona sama sobie, nie była pozbawiona krewnych, dalszej i bliższej rodziny, na której (dowiedziona rzecz) bogatym nigdy nie zbywa. Jedna okoliczność trzymała tych krewnych w oddaleniu. Po śmierci matki Ady, rozeszła się była wieść, nie bez podstawy, iż sierota została bez majątku, zrujnowana bez ratunku... Familia zastraszona tem — nie zgłaszała się wcale, zamilkła, odsunęła się, aby nie być powołaną na pomoc... Niektórzy jej członkowie, wezwani do rady, pod rozmaitemi pozorami wymówili się od spełnienia obowiązków. Gdy później, dzięki szczęśliwemu losowi, pracy, oszczędności ogromna fortuna Pretwiczów, jakby cudem oczyszczona została, gdy zasłyszano, że sierota była bogatą dziedziczką, rodzina zaczęła mieć zgryzoty sumienia. Uczuła, że przecież nie godziło się nieszczęśliwej pozostawiać tak samą... na łup ludzi niedobrych...

Zaczęto się przysnuwać z wolna do Ruszkowa, a każdy przybywał z takim sercem rozczulonem, z takim przywiązaniem tkliwem, z taką hołescią, że

wprzódby służyć nie mógł, gdy miał najgorętsze chęci — iż można było sądzić, że w nich staropolskie tradycje rodziny i domu nie zgasły.

Ada przyjmowała tych zbiegów nader uprzejmie, grzecznie, lecz tak chłodno jakby jej zupełnie byli obcy. Nie czyniła im wymówek najmniejszych, nie dając też nadziei, aby na nowo bliższe, serdeczniejsze związanie się mogły węzły. Niektórzy kuzynowie, a liczba ogólna rozmaicie spokrewnionych była wcale nie mała — próbowali — chociażby dyspensa miała być potrzebna... zbliżyć się zakochaniem. Starsze panie jechały w swaty. Wszystko to spełzło na niczem, i w końcu pogniwano się na niewdzięczną.

Z bogatymi krewnymi, jak wiadomo, nigdy się nie zrywa; stosunki więc, acz bardzo mdłe, kruche i nie podsycane niczem, trwały zawsze. Pisywano do siebie, przyjeżdżano czasami, bywały próby prezentów i grzeczności, na które wzajem odpowiadała Ada — nie mogąc nigdy zapomnieć, że w chwili katastrofy, wten czas kiedy potrzebowała ręki od serca, podali jej ją obcy nie swoi.

Rodzina panny Ady, przekonywając się i upewniwszy, że panna, nauczona matki przykładem za męża isć nie myśli — żywiła nadzieję, że kto wie, może po niej kiedyś dziedziczyć. Naówczas to dano jej pannę Karolinę... aby przecież miała towarzyszkę; wsunęła się panna Hortensya dla dozoru... Oprócz tego często zgłaszano się o pomoc do bogatej dziedziczki Ruskowa, która rzadko jej odnawiała.

Wpływ ks. kanonika i pogłoski jakoby cały majątek miała przeznaczyć na instytut dobroczynny, strwożył był nieco rodzinę — panna Hortensya uspakajała tem, iż w żadnym razie całego spadku nie odda na fundacyę... Co do możliwego zamażpójścia panny Ady, którego się obawiano z razu — po upływie pewnego czasu ustąpiła trwoga, nastąpiła pewność, iż to być nie może. Nawykła być panią w domu, pie-

kna Ada głośno mówiła i dowodziła całym postępowaniem. że wcale nie myśli zmienić tej swobody na niewolę.

Teraz nagle mieniła się rzeczy postać. Panna Hortensya aż do sceny z kanonikiem — powątpiewała choć dokuczać miała sobie za obowiązek: wypadek tego ranku przeraził ją. napomniawszy — napędził ażeby dała znać rodzinie co się tu gotowało...

Mógł przecie ktoś przybyć. spróbować. upamiętać. oddziaływać. wyperswadować. Szczególniej rachowała kuzynka na panią szambelanową Orczyńską, osobę bardzo poważną. przyrodnią siostrę nieboszczki matki Ady, która wprawdzie mało się z siostrzenicą komunikowała. lecz wiekiem. położeniem. stosunkami, znaczeniem mogła mieć pewną powagę i wpływ może. Pani szambelanowa owdowiała. bezdzietna. miała dożywocie znaczne. które jej dozwalało żyć w Warszawie wygodnie i dostatnio, przyjmować w swym domu najlepsze towarzystwo, raz w rok regularnie jeździć do Karlsbadu i od rana do nocy grać w wista lub preferansa...

Osoba była najmilszego w świecie charakteru nadzwyczaj pobłażająca. przebacząca wszystkim wszystko. byle jej nie mącono pokoju, lubiąca dobrze zjeść. zabawiać się wesoło i wszystkich mieć przyjaciółmi. Oprócz wista i preferansa lubiła swatać bardzo. Nie można było zliczyć, ile nieszczęśliwych małżeństw sklejonych pracowicie miała na sumieniu.

Rodzina bliższa i dalsza skupiała się około tej dobrej szambelanowej. która wprawdzie nikomu nic nie dawała. bo sama potrzebowała wiele. ale uprzejmą była, gościnną. pomagała stosunkami chętnie. sciskała serdecznie — i charakterem miłym. w świecie sobie zyskała niemałą wziętość. Wiadomo było, iż szambelanowa rachowała dla swych różnych kuzynów na spadek po pannie Adzie — którą nawet parę razy posądzano o szychoty, aby tem wrażeniem oczekiwanie



skrócić. Korrespondowano z Ruszkowem, pani Orczyńska pochlebiała sobie, iż miała najwięcej miru u siostrzenicy, a że szanowała staruszkę i grzecznie na listy odpowiadała — i panna Hortensya była przekonania tego, że ciocia nie jest bez wpływu... Należało najprzód szambelanową nprzedzić, która mogła najłatwiej rozbudzić resztę rodziny...

Jeżeli postanowienie niewychodzenia za mąż zostało zmienione, dla czegoż nie mieli choć próbować korzystać z tego dalecy kuzynowie i protegowani szambelanowej?

Panna Hortensya wbiegłszy do swojego pokoju, natychmiast zajęła się przygotowaniem do korespondencyj. Pierwszą z nich wystosowała do kanonika, ażeby mu odmalować jak się tu stan rzeczy pogorszył; drugą rozpoczęła do szambelanowej, a ta musiała być obszerna, przekonywająca i nagła. Po dzi siejszem wystąpieniu Ady, kuzynka widziała niebezpieczeństwo tak wielkie, iż ani chwili nie było do stracenia...

Musiała działać, gdyż i jej własny interes ją do tego pobiadał — z Robertem była źle, dokuczała mu wielce, mogła się więc spodziewać, że w tym domu nie wybędzie... A cóż to miał być za dom, gdyby istotnie Ada wyszła za majorowicza?? Dreszcz przebiegał na myśl o tem...

Ostateczny upadek — megalians, okropności! Major z białą chustką na wysokiej duszce i włosami zlepiionymi na łysinie, może nawet z fajeczką w ustach... u kochanej synowej!! Któż mógł zresztą wiedzieć, jaka tam po za nią szaraczkowa, kapotowa, bezrękawiczna, kozłowobutna stała rodzina, która mogła spać jak szarańcza na Ruszków!!

Należało co rychlej zwołać pospolite ruszenie i nieszcześliwą, nieopatrzłą wstrzymać nad brzegiem tej przepaści.

Panna Hortensya siadła do listów z twarzą niezwykłemi rumieńcami zapaloną... Czwartkę po ćwiart-



ce odrzucała zapisane, rozgorączkowując się coraz bardziej. i pisaniem spotęgowując w sobie uczucie niebezpieczeństwa... Pod temi wrażeniami wylęgle listy były coraz głośniej bijące na trwogę... Rodzina zagrożona infamią, majątek — nieszcześliwa Ada przyszłością najczarniejszą... Robert odmalowany został w kolorach najstraszniejszych, jako nieokrzesany parobczak. który nic oprócz jakiejś tam gminnej świeżości i młodości nie miał za sobą. który zaledwie czytać i pisać umiał... Dodatki. insynuacje. dwuznaczniki. domysły barwy dodawały obrazowi... Dorozumiewała się panna Hortensya intrygi... oskarżała Adę o namiętność niemal wstydliwą... Przesady było więcej niż prawdy — szło o utrzymanie pożądanego efektu, i korespondentka wołała za wiele zrobić niż za mało... Dobrze już było późno. gdy pisać skończyła. Czoło jej pałało. ręce drżały ze zmęczenia. ostatnia ćwiartka padła na stos papieru zapisanego. gdy z za drzwi usłyszała głos Ady...

— Zobaczyłam światło w oknie — chciałam się dowiedzieć o twoją głowę... Ada weszła spokojna. uśmiechnięta. Hortensya stała przerażona... Listy leżały kupą na stole. nie mogła ich nie widzieć i nie domyslać się... Poblądło lice kuzynki, która zapobiegając zbliżeniu się do stolika, wyszła do progu zapewnić, iż ból głowy przechodzi.

— A któż z bólem głowy pisze... i to jeszcze tyle!! rozśmiała się Ada. z której oczu wnieść mogła Hortensya, że została odgadnięta. Ada nie zdawała się jednak przywiązywać żadnej wagi do listów, pogardliwie popatrzała na nie. dała dobranoc — i krokiem poważnym. przez ogród nazad skierowała się ku swemu mieszkaniu.

— Masz tobie!! szepnęła Hortensya — nie ma wątpliwości, że się teraz domysli z kąd padł cios... Mniejsza o to — mam obowiązek... a wypowie mi dom... musi mnie wziąć szambelanowa! Choczym zresztą osiąść

miała w miasteczku... Żeby na to patrzała z zimną krwią i założonemi rękami... byłabym najnikczemniejszą istotą, niegodną tego imienia, które noszę...

To mówiąc panna Hortensya siadła mężnie do kopertowania... Nazajutrz szły na pocztę...

W rozmowie z Robertem, dowiedziała się panna Ada, iż na Ś-ty Piotr miał ojca odwiedzić... Przeciwno temu nic nie można mówić było... Spełniał obowiązki.

— Długoż pan tam myślisz zabawić? zapytała na pozór obojętnie.

— Prawdziwie, trudno mi to oznaczyć! rzekł Robert. — Będę się śpieszył z powrotem, bo choć mi z ojcem najlepiej i najmilej, ale tu... (zaciął się — i dodał) obowiązki, gospodarstwo...

Ada spojrzała nań i spytała kiedy wyjeżdża?

— Chcę być najpóźniej w wigilę Ś-go Piotra, muszę więc trochę wcześniej ztąd wyjechać...

— Nie chcesz pan jakich książek na drogę, żeby mu one nas... przypominały?

— A! na to niepotrzeba mi książek — odezwał się Robert osmielając — i bez nich Rusków mi nie wyjdzie z pamięci. Znalazłem tu, u pani takie przyjęcie, na które anim zasłużył, anim się go mógł spodziewać... Znam nadto przestrzeń, jaka dzieli mnie niedouczonego hreczkosieja od tych stref, w których pani

mieszkać nawykłaś... trzeba było jej dobroci, aby mnie tolerować i nie śmiać się z mojego zacofania... a tak być wyrozumiałą dla mnie...

Skromność, z jaką się wyrażał, mnsiała bardzo przyjemnie zabrzmieć w nchu i sercu panny Ady, bo się jakby z radości zarumieniła i spojrzała nań bardzo łaskawie.

— Nie czyń, bo się tak nadto małuczkim i pokornym — rzekła — cenią się w ludziach równie przymioty serca jak umysłu; a umysł pan masz otwarty. pojętny... dla którego dostępne jest wszystko co zechcesz..

— Jeżeli trochę przejrzałem — odezwał się Robert, toż winien Pani. Dobry mój ojciec, choć sam się bawi książkami. mnie chciał ustrzedz od nich jak od truciizny... Za młodszych lat rwałem się do nich. — powtórzał mi, że moim powołaniem na zagonie pracować..

— Ale to jedno drugiemu nie przeszkadza — rzekła Ada — wierz mi pan.

— I ja tak myślę.

— Przyjedźże pan po książki. a ja dla niego wybór zrobię. i przyłaczę coś ciekawego dla ojca. który widzę, że się ekonomią polityczną zabawia

Robert podziękował..

Kilka razy wymieniali spojrzenia znaczące, chłopcu różne myśli przychodziły do głowy. ale je odpędzał. Co się działo w sercu panny. nikt w świecie. i ona sama nie wiedziała. Usiłował wmówić w siebie. że interesowanie się młodym Robertem było przyjaźnią czysto-duchową, rodzajem eksperymentu — wychowaniem — ale, nigdy w świecie, niczem czulszem, ani w gwałtowniejsze uczucie mogącem się przerodzić.

Ada zwykła była tak studyować siebie. jak ludzi, rozbierała więc każde własne wrażenie i poddawała je scislej analizie. ale sama o tem nie wiedząc. była dla siebie pobłażająca. Zamykała oczy na wiele fenomenów, któreby ją w kim innym uderzały. Tak na przykład nie widziała w tem nic zdrożnego i dzi-

wnego. że gdy się spodziewała przybycia Roberta, nie-  
spokojniejszą była niż zwykle, że poznawała turkot  
jego bryczki, głos i śmiech jego w sieni, że serce jej  
biło naówczas. ręce drżały i śpieszyła naprzeciw nie-  
mu... Nie raziło jej to, że gdy długo nie przyjeżdżał,  
tęskniła i wyglądała go. szukając środków aby go  
ściągnąć, że nawet gdy milczeli, a ona tylko uau pa-  
trzeć mogła z daleka. dawało jej to błogi spokój jakiś,  
że naostatek była najwyraźniej zazdrosną o niego...  
i ukradkowe spojrzenie Karoliny nań, jego przemówie-  
nie do niej, gniewało ją. Wszystko to szło na karb nie-  
winnego przywiązania prawie macierzyńskiego.

Myśl ta, że miał wyjechać na S-ty Piotr zbliża-  
jący się, do ojca — napełniła ją smutkiem. Musiała  
wyznać przed sobą, iż jej go żal było. i że gdyby po-  
bieżny ów plan ojca wypuszczenia mu Żabliszek przy-  
szedł do skutku, byłoby jej bardzo pusto; a czczość  
życia, na którą narzekała, znacznieby się zwiększyła.  
byłaby może nie do zniesienia.

Trochę ją to czasem gniewało, że ten chłopak  
nieznaczący, skromny, pospolity... zajął tak wiele  
miejsca w jej sercu i życiu... Nazywała to sama słabo-  
ścią, a natury jej—nie chciała bliżej rozbierać. Jęćciż  
się w nim nie koçam — mówiła sama do siebie, toby  
było—nie szne. Śmieszność zresztą zniosiałbym—lecz...  
lecz... to jest niepodobieństwem... toby nie miało sen-  
su... Postanowiłam nie iść za mąż i słowa tego do-  
trzymam... a przyjaciela przecież mieć wolno...

W tym rodzaju rozliczne waryacje na ten temat  
pisały się w dzienniku i roły wieczorami. Na czas  
oddalenia się Roberta, panna Ada przedsięwzięła stu-  
dya nad sztuką, które ją miały pochłonąć i być na  
wieknistą czczość lekarstwem. Lubiła nauki, zajmo-  
wała się niemi chętnie. jednak nic jej tak nie zaprzą-  
tało jak kunszt. jego dzieje i w ogóle wszystkie obja-  
wy piękna... Obłęcki przygotowywał na nowo układa-  
jący się zbiór, wedle szkół i mistrzów. Seroux d'Agui-  
court już leżał rozłożony w bibliotece—ale panna Ada

znajdowała go niedostatecznym. Miała słuszość, doskonałą jako przypomnienie, nie starczył do głębszych studyów... Niekiedy domyslała się nawet tej prawdy, że pomniki sztuki nigdzie i w żaden sposób inaczej się nie dają zrozumieć i zbadać, tylko tam gdzie się urodziły, w związku z krajem i dziejami, na których urosły. Kto nie był w klasztorze Ś-go Marka we Florencyi, ten nigdy nie zrozumie Fra Angelica, ani Rafaela bez fresków watykańskich, ani Giotta bez kapliczki Ś tej Maryi na Piaskach...

Robert przybył na pożegnanie — czekały na niego książki. Tego dnia panna Ada, jakby się lękała czegoś, jakby coś przeczuwała, była poruszona, była czulsza prawie dla niego, niż kiedykolwiek. Wyprawiła go w podróż, dowiadując się sama od pułkownika czy mu czego nie brakło, czemu by mu służyć mogła? Panna Hortensya z daleka się przysлуchniając, bladła z gniewu i oburzenia, powtarzała: Bezwstydna.

Ada czyniła to tak naturalnie, jawnie, nie przypuszczając nawet, aby w tem co zdrożnego być miało. iż rozbrajała tem najzłośliwszych — oprócz panny Hortensyi.

Przed samem pożegnaniem uareszcie, pod pozorem książki, wprowadziła go do drugiego pokoju, i tam oddając mu ją, wzięła go za rękę, głosem zniżonym powtarzając parę razy:

— Powracaj pan, powracaj proszę, masz we mnie siostrę przywiązaną.

Wyrazy te wymówiła głosem, który Roberta wzruszył, wzburzył — pocałował ją w rękę jakoś namiętnie, gorączkowo... ale nim się mógł odezwać, Ada skinąwszy mu głową przyjaźnie, zamiast do salonu powrócić, poszła się zamknąć w swoim pokoju.

Robert wyszedł się sam pożegnać z towarzystwem w salonie, z panną Karoliną, której kłębuszki pospadały, robota się splątała i oczy niemal zasłzyły łzami, z pułkownikiem, który mu dawał polecenia do

ojca, na ostatek z panną Hortensyą, która, żegnając go syknęła:

— Nie wątpię, że pan nam prędko powrócisz? Nie prawdaż?

Patrzała mu w oczy tak, jakby go wzrokiem bazyliuszka zabić chciała... Miała plan osnuty nawet — rozmówić się z nim... obszerniej; lecz przytomność pułkownika nie dopnęła...

Nazajutrz wyjechał Robert z niezmiernie dziwnem. Zawsze dotąd śpieszył się do Żabliszek, serce mu biło do ojca i domu, pędził ludzi i konie, tym razem niemal ze smutkiem oglądał się ku Rnszkowu.

Panna Ada mogła się ludzi naturą swych uczuć dla niego, on już wiedział doskonale co się z nim działo. Ostatnie pożegnanie było dlań rewelacją — kochał. Tak jest. kochał się szalenie, gwałtownie. — kochał tak, że miłości tej miało stać na życie całe... Wiedział, że to do niczego nie prowadzi, że ona miała postanowienie nigdy nie wychodzić za mąż, że nie był jej godzien, że ten ideał na tak wysokim stał piedestale, iż sięgnąć doń było niedarowaniem zachwalstwem. Wszystko to jednak nie przeszkadzało mu się kochać — i niezmiernie tem być szczęśliwym.

Była dlań — jak powiedziała — siostrą; mógłże on pragnąć więcej? nie było to najwyższem szczęściem, jakiego w życiu można było dostąpić?

W młodej głowie wiązało się z tem, że miał pozostać wiernym tej miłości do zgonu, służyć jej — nie zemić się nigdy, cały się jej poświęcić... Marzenia nie szły dalej, i to już za wiele!

Robert się nie śpieszył do Żabliszek, lecz służba jego, rodem z tamtąd... leciała, nie dosypiając na noclegach, nie dając koniom dobrze popasć, wyszukując dróg najbliższych, tak, że prędzej stanął, niż się spodziewał. Gdy wyjechali z lasu, chłopak się ku niemu z kozła odwrócił, klaskając w dłonie:

— Panie! Żabliszki! niech pan patrzy — dali Bóg, wioska nasza!

I jemu aderzyło serce — okolica to była, w której całą swą przy ojcu młodość przepędził, zasiana wspomnieniami... której kamień każdy, ruczaj, drzewo było mu znane... Na chwilę zapomniał i on o całym świecie, widział już niemal ojca, który nań czekał, ludzi co go witać mieli — swoje pokoiki dawne studenckie — i tyle twarzy tak dobrze znajomych, tyle pocziwych wyciągniętych ku sobie dłoni.

Chłopakowi na kozle usta się nie zamykały.

— O! proszę panicza — Antonowi chatę nową pobudowali... Widzi pan tam stary pasiecznik idzie ze wsi... to on... Oho... grusza przy podwórku Tomasza obaliła się...

I kłaniali się przechodzącym i uśmiechali do naddrożnych kamieni...

Te litewskie kamienie, które się przed lat tysiącami przytoczyły tu z falami morza, co je porzuciwszy uciekło, są tu jakby pomnikami dawnej epoki. Któż nie zna tych omszonych starszusków? rzadko ręka ludzka śmie poruszyć większe głazy... Modliła się im stara Litwa jak bogom... Na niektórych sterczą teraz krzyżyki żelazne i pobożne ręce obsadziły je jodłami i jałowcami. W posrodku Żabliszek stał właśnie kamień taki, a przy nim bryczka Roberta spotkała majora, który przeczcieniem jakimś wyszedł naprzeciw nadziei synowi — choć tego dnia nie powinien był liczyć na niego. Robert skoczył ku ojcu i ścisnąć się zaczęli. Na pierwsze skinienie konie i ludzie pośpieszyli do dworu. Ojciec z synem szli pieszko — oba rozczuleni, przejęci jakby się nie widzieli od wieków. Robert ukłony najprzód oddawał od pułkownika, od panny Ady, na co stary nie odpowiedział nic — potem mówiono o drodze, potem major począł pokazywać co nowego przybyło, pokopane rowy, osuszone łąki, pozasiewane pola, zbudowaną jeszcze jedną nadetatową szopę, na nowo wyrestaurowaną karczemkę...

Tak doszli do wrót dziedzińca, gdzie pocziwy Ernest Bnrakowski oczekiwał czerwony z radości.



śmiejąc się na widok panicza i przyjaciela... Swawolili niegdyś razem na tym dziedzińcu i byli jak dwaj bracia ..

W ganku stał Łukasz, kucharz i faworyt pana, z powitaniem także, i cała czeladź rada paniczowi, którego wszyscy kochali jak major. Kłaniano mu się do kolan, a przypatrywano — czy wyrósł, czy nie zmierzniał... jak wygląda... Jeszcze się ta niemal familijna scena nie skończyła. bo — po staremu domownicy rodzinę niejako składali—gdy Erdziwił przypadkiem. a nie bardzo w porę nadjechał. dzielić radość ogólną.

— O tom spadł szczęśliwie bratku!—zawołał. — Co to jest przecucie pasożyta! gdzie gody tam i ja... a toć tu gody jak na powrót syna marnotrawnego. i major jeśli nie zabije tłustego barana — to choć kapłona... pewnie.

— Ale ja nie zasługuję na nazwisko marnotrawnego!—roześmiał się Robert—to obraza!

— Zasługujesz! marnujesz najpiękniejsze lata do kochania—i nie kochasz się, ani żenisz..

Zarumienił się Robert...

— Już my tu ci w tej zatwardziałości grzesznej długo pozostać nie damy! — śmiał się sędzia — pańmy wszystkie na ciebie czekać. będziesz musiał wybierać...

— A! będzie na to czasu!—szepnął Robert.

— Właśnie czas...—odparł uparty Erdziwił.

Major tylko z ukosa poglądał na rozmawiających.

Przybycie sąsiada na rękę było może ojcu i synowi. gdyż obaj czuli się sam na sam, nie jak niegdyś bywało. swobodni—ale skrupowani tem co mieli w sobie. Robert obawiał się, aby nie żądano przesiedlenia się do Żabliszek... ojciec nie wiedział jak o to zagaić sprawę, a pilno mu było... Jeden drugiego lękał się i rad był zwlec stanowczą rozmowę. Major odkładał ją w duchu do — stałszego jakiegos



projektu, jesliby jedna z panien upatrzonych w oko wpadła...

Erdziwiłł, będąc w tajemniczony. gotował tymczasem grunt... i potraçał ciągle o ten przedmiot. Obaj oni uradzili byli. ażeby dla ożywienia sąsiedzkich stosunków. trochę ostygłych. objechać szlachtę przed Ś-tym Piotrem—i—choć się na imieniny nigdy prosić nie zwykło. napomknąć, że syna się spodziewa major, któregoby rad łasce współobywateli polecić.

Gruchnęła tedy wieść do koła — że major na Ś-ty Piotr będzie w domu (zazwyczaj wyjeżdżał do miasta) i że radby był sąsiadom. Ci na to jak na lato! imieniny! wysmienita rzecz. a jeszcze w lecie, w pięknym czasie i w domu wdowca. gdzie kobiet nie ma, a po obiedzie nawet surduty pozrznać można. Zarzucają Amerykanom. że najmilej im tam. gdzie nogi na stolik założyć mogą—u nas najswobodniej gdzie bez fraka przyjechać. a bez surduta chodzić można. Przytem majora dom słynął z tego. że choć zbytku w nim nie było. ale dostatek wielki, gościnność nie mniejsza i wszystko od chleba począwszy — choć oblizuj palce... Wybierało się więc sąsiedztwo tłumnie do Żabliszek. co później dać miało assumpt majorowi z synem do objazdu sąsiadów dla podziękowania. Robertowi szepnął tego dnia Erdziwiłł zaraz. że na Św. Piotr masza się gości wybiera... Trochę to było dziwne—lecz cieszył się tym syn. że ojca szanowano... Dzień ten w Żabliszkach pamiętny. bo się do niego od wigilii przyspasabiano, począł się od Mszy Ś-tej w kościółku...

Major poszedł na grób żony się pomodlić... ukląkł na nim z synem razem, i na chwilę zasmucony wyszedł z tą milczący. Leczą na drodze już do dworu zaczęli się spotykać z nadjeżdżającymi sąsiadami, z których najdalsi przybywali pierwsi, z obawy aby się nie opóźnili. Sypały się powinszowania i uściski, humory stroiły do dnia i nroczystości. Erdziwiłł od rana już zabawiał się w ganku. W salce stało śnia-

danie nieustające dla nadciągających, obiad miał być w wyporzadzonym na ten dzień magazynie, gdzie nakryto zawczasu. Groźne chmury chodzące po niebie, nie pozwoliły go przygotować w ogródku. Magazyn był tak porządkny i tak wyświeżony, że gdyby nie brak okien, w istocie starczyłby za salon jadalny. Marszałek powiatu, zaszczycił także Żabliszki obernością swoją, byli i Surym, byli i inni dalsi i bliżsi... Wszystkich oczy z ciekawością się zwracały na pięknego Roberta, który między młodzieżą miejscową prym trzymał. Nikt mu ani wdziękiem postaci, ani uprzejmością, żywością umysłu, serdecznością w obejściu nie sprostał. Wiedzano też, że oprócz Żabliszek wieźmie po ojcu dobrze nabitą szkatułę, i ci co mieli córki na wydaniu szczególniej dlań okazywali się grzeczni. Marszałek nawet długą prowadził rozmowę, trzymając ręce w kieszeniach i opatrniąc indywiduum, jakby przyjmował rekruta. Chłopak mu się podobał dosyć... tak dalece, iż go zaprosił, aby dom jego odwiedził. Inni też ubolewali nad tem, iż wyniosłszy się z okolicy, pozbawił ją orzeźwiającego żywiołu... Dwóch dawnych towarzyszków szkolnych Roberta witano go ze szczególnem zajęciem, niejaki Dryja i Sobotkowski — różnego z nim wieku, oba nie żonaci i wesołe chłopaki.

Był z uimi niegdys Robert na zupełnej stopie ponałości — przystąpili więc do niego jak do starego znajomego bez ceremonii: — ale po wymianie słów niewiele, zdumiał się przybyły jak jakoś język ich brzmiał mu dysharmonijnie, obco i jak mu się strasznie wydali... gburowatymi.. Był to skutek przebywania w Ruskowie i zaszłej w nim samej zmiany, której nie poczuł, aż teraz, gdy ją mógł wymierzyć porównaniem. Nawzajem Robert się im zdał paniczekowatym, jak niebył nigdy... Patrzali na siebie ze zdumieniem — nie oziębiło to przyjaźni, ale nastrój do jednego tomu był trudny...

— Cóżes ty się tam nie ożenił? he? nie zakochał przynajmniej? — spytał Dryja, klepiąc go po ramieniu...

— Dotąd. nie—rzekł Robert—a wy?

— Dryja się kocha w pannie Zofii... wiesz?... — szepnął pół głosem Sobotkowski.

— A on w młodszej marszałkównie! — do drugiego ncha nachylając się, szepnął Dryja...

— Pleciesz!!

— Panien mamy ładnych huk... — dodał wesoło Sobotkowski—kawalerów brak—tylko wybieraj...

Robert udawał wesołego — ale mu było jakos dziwnie.

— Długo ty tu zabawisz?—spytał Dryja.

— Pewno nie bardzo, bo wiecie jaki czas gorący. a ja mam gospodarstwo na głowie.

— A! głupstwo — krzyknął Sobotkowski—a od czegoż ekonom! Za cóżbyśmy ich płacili, gdybyśmy jeszcze musieli sami być niewolnikami? Ja... sobie z gospodarstwa nic nie robię.

— I ja niewiele—potwierdził Dryja... no, juściż najrzeć potrzeba, ani słowa... ale u nas jak raz machina nakręcona, samo jakoś idzie.

— Otóż bo widzicie, że u mnie machinę tę nakręcać jeszcze potrzeba... — rzekł Robert — dlatego ja tam niezbędny.

— No—ale zawsze.. zabawisz z nami... — rzekł Sobotkowski. — Ażebys też nie był u mnie. dawnego kolegi... tobym cię z kretelem przeklął.

— I jabym z przyjaźni z kwitował!—dodał Dryja... o tem nie ma i mowy...

Gdy Roberta odwołano, spojrzeli po sobie.

— Wiesz. strasznie mi paniczekowato wygląda Robcio,— rzekł Sobotkowski. — zmienił się mocno... Słyszałem. że go tam do pańskich domów wciągają. Chłopak ładny.. Posmutniał. nie swój.

— W istocie trochę rezonu stracił—rzekł Dryja—ale kto to może wiedzieć od czego! Chłopak dobry z kośćcami...

— Słyszałem z boku, że się major wygadał, jakoby mu chciał puścić Żabliszki—pewnie go ożenią.

— Z kim myślisz?

— A kto to wiedzieć może! Marszałek bardzo mu się uśmiecha.

Sobotkowski, który w istocie miał na jedną z córek marszałka widoki, minę zrobił osobliwą.

— Gdyby o starszą się chciał starać, zrobiłby mi łaskę, boby do młodszej utorował drogę—odezwał się, a młodszej nie wydadzą przed starszą...

— To mu podbij bębenka...

W istocie tego dnia młodzi i starzy, jakby się zmówili, czy coś przeczuwali, wszyscy myśli matrymonialne poddawali Robertowi, który je z zakłopotaną miną przyjmował, zaręczając, że jeszcze się stanem kawalerskim nie nacieszył.

Erdziwiła, który się do innych przyłączył, podając mu myśl o ożenieniu, zbił Robert tem, że sam on dobrego nie dał mu przykładu, choć dawno czas było.

— A! to wcale co innego, bratku — odpowiedział Erdziwił. — Widzisz acindziej—ja jestem z natury bałamnt, czekam. znając siebie, aż się ustatkuję. Ty zaś już jesteś gotów, paratus ad matrimonium. bos bardzo porządny chłopiec.

Śmieli się wszyscy z niezgorszego tłómaczenia... Obiad był, jak zwykle z piramidą, galaretami i toastami. Marszałek sam wniósł zdrowie solenizanta, na które gospodarz odpowiedział zaraz toastem na cześć głowy obywatelstwa... Warażenie było nieco hyperboliczne. bo pocziwy marszałek sam nie miał tego co miał reprezentować, ale, że powiat karmił i poił od lat wielu—to mu wszyscy przyznawali. Wypito i zdrowie konsolacyi majora. to jest pana Roberta, i mnogie inne. tak, że od stołu wstając, wszyscy byli dobrze

podchmieleni, serdeczni — uściskom nie było miary i zgoda panowała między powietnikami najprzykładniejsza.

Robert, który musiał ojca zastępować, dolewać, prosić, zyskał sobie serca wszystkich swą uprzejmością. Nie go to podczaszowstwo kosztowało — nie dał poznać po sobie. Staremu obyczajowi w starym domu szlacheckim, potrzeba było być posłusznym. Major sam chętnie spełnił parę kieliszków węgrzyna, ale się zalewać nie lubił — na syna więc zdał owo „przymuszanie“, które jest poczytywane za oznakę prawdziwej gościnności — i Robert jak umiał i mógł, zmuszał...

Obiad skończył się o zmroku, a że się niebo ku zachodowi wyjaśniło, wyszli wszyscy z cygarami na dziedziniec i do ogrodu. Niewielu się powymykało do domów, inni pozostali na gawędkę, herbatę i wiścika, który trwał niemal do rana... Stopniowo przerzedzało się jednak, i gdy świtać miało, ostatni gość odjechał... Major fajkę palił w ganku zamysłony...

— Dobry to lud — rzekł zamysłony — no — ale — prawdą a Bogiem...

Nie dokończył, spojrzał tylko na syna, który się uśmiechał.

— Hałasować lubią strasznie — dodał po chwili...

Znowu nastąpiło milczenie... i dodatek:

— Ale dobre, serdeczne ludziska! Gdyby im Pan Bóg dał tyle głowy co mają serca... nic przedziwniejszego nad nichby nie było... Jakże ci się podobało sąsiedztwo? — dodał major.

— Słowo w słowo tak jak ojcu...

— Za tę grzeczność, którą nam wyświadczyli, zjeżdżając się tu — a prawdę rzekłszy, ja na nią nie bardzo zasłużyłem, bo mało gdzie bywam — musiny się wywdzięczyć.. Trzeba konie zawczasu przygotować do objechania sąsiadów. Rozumie się, że ty ze mną — rzekł, spoglądając synowi w oczy major. Prędejj, później, a mnie się zdaje że nawet prędko bardzo,

w Żabłyszczkach ci się trzeba będzie lokować — zatem...  
pokumać się nie zawadzi.

Robert zmilczał.

— Ja trwam w tej myśli, żebyś się ty tu przeniósł.

— A mnieby boleśnie było ojca ztąd rugować — odpowiedział Robert — nie zgodziłbym się nigdy na to z dobrej woli, bo toby było ofiarą daleko nawet cięższą dla kochanej o ojca, niż się zdaje...

— Ofiara dla ciebie, moje dziecko, nie może mi być ciężką, ale słodką, rzekł ojciec — wierz mi...

— A dla mnie ona byłaby brzemieniem na sercu — odezwał się Robert.

— Tymczasem omyłkę, którą ja popełniłem, mówił major, w jakikolwiek sposób należy naprawić. Zdawało mi się kalkulowałem... no — słowem, chybiłem tem, że cię tak daleko od siebie odsunął. Tęskno mi samemu, niepokoję się... Chciałbym cię mieć bliżej. Trzeba będzie, jeśli się inaczej nie da, z lichem odstąpić komu Zabaje — a inaczej się urządzić.

— Ojciec kochany wie, że kontrakt dzierżawy zabarendować nie dozwala — odezwał się Robert.

— Ekonoma posadzim — gotowem dać Buraków skiego.

— Ernest dobry człowiek, ale na tantem gospodarstwie rady sobie nie da...

— O! o! nie święci garnki lepią. Parę bąków strze li i połapie się potem. Choćbysmy jaki tysiąc straci li — bierz go licha...

Nie stawano argumentów Robertowi, zamknął trochę lecz oko ojca łatwo mogło dojrzeć, że nowe projekta nie były mu po myśli. Tem mocniej przy nich chciał obstawać, biorąc to za oznakę, że Robert istotnie — zaplątał się w Ruszkowie.

Rozeszli się o białym dniu... powarzeni. — Trzeciego dnia major zapowiedział, że po rannym obiedzie pojedą do marszałka, który na wsi przebywał. Owdo wiał pierwszy urzędnik powiatowy, miał, jak wiado-

mo. dwie córki wielce utalentowane, o których już Robert wiedział. Widywał je dziećmi jeszcze...

Dom głowy ohywatelstwa, jak ona sama silił się na to, aby się wydawać bardzo pańsko i arystokratycznie. Wysiłek to był dla skromnych oczu szlachty aż nadto wystarczający do dania wyobrażenia wielkiego o dostatkach i wykwintnym guście czcigodnego urzędnika. Przyjmował w nim nieraz wysokich dygnitarzy z gubernii—i było po pańsku jak należy; ale—wszystko to widziane z bliska czuć było tandetą. Nie brakło żadnej rzeczy, której wymaga obyczaj, począwszy od szampana do liberyi, ale szampan był krajowej fabryki, a liberya nicowana i farbowana. Urzędowanie rujnowało, nie można było zejść z tej stopy, na jaką się raz weszło, reprezentując powiat.. Wszystko więc na oko się utrzymywało — z wielkim trudem — i do czasu.

W rezydencji był rodzaj pałacyku przy starym ogrodzie... a gdy Jazygowie nadjechali, rodzaj kamerdynera nieogolonego poszedł ich zameldować, prowadząc do salonu. Tu nie było nikogo oprócz otwartego fortepianu, nut w nieładzie i mocno wyszarzanych krzeseł obitych niby aksamitem — ale łatanych.

Nie dając się długo rozpatrywać tu gościom, wszedł marszałek z powitaniem narzekając na zajęcie które go i na wsi ścigało.. Serdecznym był bardzo... Zaledwie usiadłszy, zerwał się zaraz przepraszając, że ma słówko do powiedzenia sekretarzowi i absentował się na chwilę. W sąsiednich pokojach słychać było szepty i jakby stłmione śmieszki kobiece.

Marszałek wrócił kończąc rozpoczętą rozmowę o niedoborach i gościńcach; potem mówiono o nadziejach urodzajów tegorocznych, i o gradzie, który niejscami szkody porobił... Zaczynano już kwestyę assekuracyi od gradobicia — gdy drzwi się otwarły i siostra marszałka pani Czepińska, w paradnej chustce spiętej broszą niepospolitej wielkości, weszła poprzedzając dwie piękne panny, z żywemi oczyma, z we-



sołemi twarzyczkami podobne do siebie i jednakowo ubrane...

Były to panny Liza i Minia marszałkówny. Pomimo nieodłącznego od pierwszego powitania rumieńca dziedzicznego, zakłopotania pewnego, wzrok obu siostr padł ciekawie najprzód na Roberta, potem dopiero na łysinę majora i białą jego chustkę z fontażem...

Z przybyciem pań rozmowa oczywiście nowy obrot wziąć musiała, który jej nadała słynąca ze świadomości świata i jego obyczajów pułkownikowa Czepińska. Ponieważ zaś marszałek musiał kwestyę assekuracyi od gradobicia przedyskutować z panem majorem na osobności, Robert wydany został na łup niewiastrów.

Pułkownikową miał oko w oko naprzeciw siebie, a pannę Lizę obok. Minia kryła się trochę za siostrę, niekiedy wynurzając się z za jej ramienia, aby ukradkiem rzucić wzrok śmiejąc się na Roberta.

Obie panny były w humorze wesołym, do wybuchnięcia ze śmiechu skłonnym, co tworzyło wybitną sprzeczność z pułkownikowej tonem surowym, mową napuszoną i postawą wykrygowaną. Pani Czepińska zawsze się trzymała w tem usposobieniu, aby niem hamować panny, zbyt usposobione do chychotania...

Wypytywano Roberta o towarzystwo, jakie miał w tych stronach, w których przebywał, o jego zajęcia — czy lubił muzykę, czy tańczowano w Zapusty, czy bywały bale i t. p. Młody Jazyga musiał oświadczyć, że mało gdzie bywał, zajmował się gospodarstwem i lubił samotność. Pani Czepińska w części to pochwalając, znajdowała, że młodość ma swoje prawa i że zabawa dla niej prawie koniecznością jest... w dobrem towarzystwie. Panna Liza wmieślała się opowiadając o balu u ojca ostatnim i jak się doskonale bawiono; potem o Zapustach u państwa Wymierskich.



które były bardzo świetne... Wśród opowiadania Minia kilka razy parsknęła śmiechem. do którego żadnej jawnej nie było przyczyny, co zgorszyło niezmiernie pułkownikową. Za trzecim podobnym paroksyzmem uciekla za drzwi i nie powróciła aż przeszedł...

Jak potem do tego przyszło. iż Robert zniewolony był prosić. aby panny zagrały, jak się one niezmiernie wymawiały rozstrojeniem fortepianu, jak pułkownikowa skłoniła je do zagrania na cztery ręce uwertury z Freischütza... tego opowiadać nie będziemy. Dom rozległ się muzyką rozgłosną. którą wszyscy admirować musieli. Po uwerturze, śpiewała Liza piosnkę francuzkę: „L'Ange blanc...“ Minia piosnkę Moniuszki — a Robert zmuszony był przez pułkownikową do pochwał nadzwyczajnych. z których się wywiązał zrzeczenie. Pani Czepińska upewniała go po cichu, iż talent Lizy zdumiewał wszystkich wirtuozów; że Minia, gdyby mogła jeszcze brać lekcye, śpiewałaby jak Catalani...

Nastąpiła przepysznie podana, na mocro użytym srebrze herbata. Nadszedł na nią w vice-mundurze, ogolony ładnie sekretarz z czubem starannie do góry podczesany. Dosyć wzgardliwie patrzyły nań panny, chociaż miał gruby łańcuch i zegarka i wielki pierścień na palcu... Nie mówiono do niego, tylko go raz marszałek sam zagadnął... Przy nalewaniu herbaty, każda potrącona filiżanka, pośliznięty imbryczek... wywoływały znowu tłumione panien uśmiechy. Marszałek się oglądał oczyma wskazując majorowi te wysmienite swoje chychotki, z których jedną nawet za twarz nszczytnął. Pułkownikowa wejrzeniem dała mu poznać, iż te czułości przy obcych były trywialne. Sekretarz cały był w swej herbacie i prostowaniu się po każdym nachyleniu, które mu poważniejszą jeszcze urzędową nadawało postać...

Od dawna tak okropnej herbaty nie pił Robert, lecz nie dał tego poznać po sobie. Major zreźniejsz

upewnił skosztowawszy, że ona mu sen odbiera, i wy-  
mówił się od spełnienia tego kielicha mikstury.

Razem z herbatą skończyły się odwiedziny,  
a marszałek odprowadzając gości, prosił ich, aby o nim  
nie zapominali...

Gdy bryczka była już za bramą, major spojrzał  
na syna badawczym wzrokiem...

— Hm? jakże ci się podobało? chcę mówić podoba-  
ły? spytał...

Robert zrobił minę wątpliwą.

— Dobre panu. . . wesołe — mówił major, — pułkow-  
nikowa, co je wychowała, osoba szanowna... ale herba  
ta była niech ją kaci!

Robert śmiechem wybuchnął...

— Panu ładne? nie prawdaż? poprawił się ojciec —  
hm? cóż?

— A ładne...

— I muzykalne... myślałem, że cała orkiestra gdy  
poczęły...

Po rzuconych kilku pytaniach, przekonać się  
mógł pułkownik, iż zbytniego zajęcia nie obudziły  
marszałkówny... i zamilkł. Dojechali do Żabliszek po-  
sępni oba i zmęczeni.

Nazajutrz dla odruwiany wypadało jechać do Su-  
rymów, aby, jak mówił major, nie sądzono, że same  
matadory tylko rewizytują. Surym był o miedzę, nie-  
majętny szlachetka, zgryźliwe człecze, bo nawet z Ja-  
zygą się kilka razy zadzierał. Oboje państwo nie mie-  
li pretensyi do żadnych występów i roli, żyli po go-  
spodarsku, skromnie — i piękną swą Zosię wychowali  
na gospozię, bo i matka była zawołaną gospodynią.  
Gdy z południa zajechali do dworku w Annopolu, bo  
wioska od imienia była tak przechrzczona (dawniej  
zwała się pono Świninem, co niedobrze brzmiało),  
zdało się w początku, iż nikogo w nim nie zastali. Ży-  
wej duszy też nie było w dziedzińcu.

Prawda, iż słońce dopiekało okrutnie. Surym  
się położył był zdrzemnąć, sama pani była na ogro-

dach, a Zosia przy niej. Służba się też jakoś porozwlekała i pochowała.

Na progu chodziły dwie kury, prowadząc nader ożywioną rozmowę z kogutem, który siedział na poręczy ławy. Na przyzbie stary pies, podniósł głowę, szczeknął i spełniwszy obowiązek, spał dalej. Nikogo...

Major stał w niepewności co tu począć, gdy z za płota wyjrzało coś, krzyknęło, pierzchnęło, i w kilka minut, przecierając oczy wysunął się zaspany Surym, mrużąc, i począł narzekać, witając, na żonę i służbę. Utrzymywał, że tylko co się odrobinę, krztę zdrzemał... bo miał ból głowy...

Bez dalszej ceremonii spędziwszy koguta. Surym i sam siadł i gości tymczasowo umieścił na ławie w ganku. Stało się to tak na pozór przypadkowo, lecz było konieczne, bo w bawialnym pokoju leżały motki, które, trzeba było dać czas uprzątnąć i trochę izbę uczynić podobną do ludzi... Z wolna gospodarz, gdy mu zaspanie przechodziło, stawał się więcej ożywiony i humor mu powracał. Jnż się usmiechał, gdy drzwi się otwały, i w nich ukazała się jejmość otyła, w czepku ze wstążkami obfitemi...

— Upadam do nóg pana majora... a czemu jegomość nie poprosisz do pokoju. toż to spiekota aż strach!..

Odezwała się Surymowa i wszyscy ruszyli do bawialni ze staroświecką przybraną niewykwintnie... Mebelki były perkalem pokryte, a jedyną ozdobą zegar na kominie stary brązowy i dwa naczynia przy nim z porcellany bezimiennej. Za panią Surymową ukazała się niewykwintnie ubrana panienska, powinienbym raczej powiedzieć panna, gdyż mimo bardzo młodego wieku. rozkwitłą była potężnie... Krew z mlekiem! lica rumiane, rumiane rączki a wzrostem przechodziła ojca i matkę. Wiejskie powietrze, nabiał, ruch i swoboda umysłu dały się jej tak szczęśliwie rozwinąć. Dziewoja była krasna, z twarzą spokojną, z wyrazem łagodnym i flekmatycznym... Rodzice chlubni byli córką, i w istocie mieli czém, bo nie świeższego, bujniejszego, piękniejszego nawet w swo-

im rodzaju. widzieć nie było można nad Zośkę Sury-mównę. Na czole tylko brakło tego co myśl cechuje. w oczach płomyka, w całym wyrazie rozbudzenia duszy... Zdawała się jakby uspiona łagodnie... Tylko co powróciwszy z ogrodu, spoglądała się z trwogą na swoje ręce, nieco ziemią powalane, które schowała pod fartuszek. Bieg śpieszny zarumienił ją mocniej jeszcze... i pierś poraszała się żywo—włosy obfite nieco się porozrzucały; lecz — dosyć je było dłonią przygładzić. Zosia nie czuła potrzeby żadnej elegancyi. Wiedziała. że jej zawsze było ładnie...

Major przedstawił syna, którego pani domu przypominała sobie studentem. Naówczas Zośka jeszcze była małym dzieckiem, które biegło bos... Robert pamiętał puciołową jej twarzyczkę, która się mało zmieniła; stała się tylko poważniejszą nieco...

Wszyscy usiedli, a panna Zofia poszła się zając przyjęciem. Była ona prawą ręką matki. o czem po wyjściu jej nie omieszkła powiedzieć pani Sury-mowa.

— A już to. proszę pana majora, będzie gospodyni. jakiej ze świecą szukać i nie znaleźć. Gdyby nie ona. jabym sobie rady nie dała... Wstanie do dnia, cały boży dzień na nogach. nie dośpi, nie doje, o wszystkim pamięta.. Mogę się pochwalić tem dzieckiem, bo jest czem...

— Pani to dobrodziejka ja, na swój wzór i podobieństwo, wychowałaś — grzecznie odezwał się major.

— O! już to prawda! rzekł Surym.

Przy całej prostocie przyjęcie tu było lepsze, niż u marszałka, kawa doskonała, sucharki dobre, śmietanka zawieszista. Przyniosła ją służąca z głową obwiązaną chustką i bosymi nogami włożonemi w trzewiki na prędcę... ale pić było można. Surym do kawy proponował maliniak — niepodobna było odmówić. bo go panna Zofia robiła. Chwalono wielce, Zosia była usmiechnięta i naiwnie opowiadała, jak to się taki

wysmienity maliniak robi. Widać było, że niepospolitą do tajemnicy wyrobu wagę przywiązywała...

Surymowa zaręczała, że tak ona wszystko na palcach umie, nawet to czego jej nie uczyła—nie wie-dzieć zkąd... a ciasta wielkanocne!! o mój Boże...

Pochwały niezbyt Zosię zawstydzwały. przyjmowała je skromnie, ale nie protestując... Ojciec do-dał:

— Prawda. mości tego. na klawikordzie nie brzdą-ka, głów nie rysuje kredami i po francuzku nie par-luje—ale kto ją weźmie skarb będzie miał...

I w głowę ją pocałował...

Spojrzawszy w okno, wyjść musiała panna Zo-fia, gdyż podobno krowy popędzono do obory. przy których dojeniu być musiała. Matka jej nie wstrzy-mywała. Rozmawiano dobrą godzinę o tem i owem. i już Jazygowie odjeżdżać musieli. gdy panna Zo-fia z kluczami w ręku powróciła, niosąc z sobą świeży zapach obory, który nie raził nikogo. Żegna-no się zatem serdecznie i wszyscy wyprowadzali majora na ganek, a pocziwa Surymowa wesoło z niego podżartowywała.. Dostało się parę razy i Robertowi. boć gości należało w dobrym humorze utrzymać.

Zosia z daleka dyg zrobiła, nie bardzo się pło-niąc. Gdy na gościniec wyjechali:

— A co? zapytał Jazyga—jak ci się podobali Su-rymowie?

— Przyznam się ojcu, rzekł Robert — że wiejską ich prostotę stokroć wolę, niż połowiczną cywiliza-cyę i niedoszłe państwo marszałka...

— No—a Zośka? rozśmiał się major; dziewczyna jak malina... choć się wody napij. .

— Ani słowa, odezwał się syn: będzie to dobra gospodyni... bardzo dobra gospodyni.. choć...

— A tak — prochu nie wymyśli, ale do czego to się kobiecie zdało, kiedy ona i strzelać nie potrze-

buje? — dodał major... Zośka jest tak na swem miejscu... jak nie można lepiej... Takimi były babki nasze, pracowite, mężne, wytrwale, prawdziwe żony żołnierzy... A wierz mi, gdy potrzeba było — serca ich nieraz podyktowały głowie to, czego się najrozumniejszy człowiek nie domyślił. El mospanie!! nie ma to jak takie Zośki...

Spojrzał na syna: — He?

Robert siedział nie przecząc ani potakując...

— Wam dziś popsutym po trosze, czego innego potrzeba mówił dalej — niewiasty wedle pani Sand. albo tam jakiegoś wzoru, który naśladować, monstra się tworzą, ni do życia, ni do nciechy, ni do pracy!! Wiek nas i przez to przejść musi, nim trafi na formułę kobiety, któraby ani w słup nie strzeliła, ani marnie przy ziemi przysiadła...

Zamyslił się major długo...

Zbliżali się do ganku w Żabliżkach, gdy się odwrócił i zapytał:

— Zośka ci się nie podobała? he?

— Bardzo — tylko ojciec wie, ja — ani się kochać, ani żenić nie myślę tak skoro — man czas...

— Byle potem nie było po czasie! zamruczał major chmurno...

I wysiedli oba...

Zmierzchało. światła jeszcze nie podano do salonu, i w mroku ze staroświecka umebłowany pokój spory, który pełnił funkcje salonowe, wydawał się dziwnie. Prędzej na tem zyskiwał niż tracił. Światło padające z za firanek gdzieś z lekka zarysowywało wygodne krzesła, których niekształtne linie ginęły utopione w ciemnościach. Odbijało się ono w dużym zwierciadle na ścianie i dawało mu fantastyczne rozmiary, bo ramy ginęły o mroku.. Koniec szklanego pajaka n sufitu świecił resztką szlifowanych szkieł, które go przyozdabiały, a zadanych mu przez czas szczerb widać nie było... Tak samo ludzaco przedstawiały się stare szare szafeczki i biurka, w których brakło nie jednego bronzu kawałka, i stara berżerka w kątku ze stoliczkiem na cienkich nóżkach powyginanych. które pod spodem koszyczek obejmowały... Na ostatek kilka portretów na ścianach. na których migalo odbite od zwierciadła słabiuchne światelko nchodzącego dnia, przybierało bardzo uroczysty pozór. Można je wziąć było za arcydzieło Lampich i Bacciarrellich. choć tylko z ich szkoły pochodziły... Nie opodal od okna, przy stoliku, na którym stał dzwonek, leżała chustka, tabakierka i na pół wysunięte z futerału złote okulary — siedziała kobieta nie młoda. co po przygarbieniu poznać było można tylko, strój jej bowiem bardzo elegancki i wyszukany, mógłby z dala dać ją wziąć za osobę w średnim wieku. Przed nią leżał także rozłożony list z kilku składający się ćwiartek. którego zapewne ciemność doczytać nie dozwalała. Cisza panowała w domu. zegar tylko ukryty gdzieś w tych cieniach, z wolna. metodycznie. nielitościwie. nudząco wystukiwał krok każdy czasu...



Kobieta siedziała zamysłona, niekiedy oglądając się ku drzwiom, jakby się czyjś przyjscia spodziewała i doczekać nie mogła.. Spuszczała potem głowę zamysłona i poruszała się niecierpliwie, szepcząc coś sama do siebie.

Upłynęła tak dobra chwila czasu w samotności, aż ze drzwi wiodących w głąb mieszkań, weszła szeleszcząc suknią jedwabną druga kobieta, wysoka, sztywna, chuda, której krok żwawy przekonywał, że była w sile wieku. Rysów jej mrok nie dawał rozróżnić. Widać było tylko twarz długą, chudą, otoczoną lokami, które nawet po nocy wydawały się przyprawnymi.

— Al cóż to tak, paniuńczę zostawili samą w ciemnościach!—zawołała przyspieszając chodu. Mój Boże—że też pani nie zadzwoniła!

— Niech-no sobie Mikołaj odpocznie... odezwała się w krześle siedząca.. nim pan Karol nadejdzie. będzie dosyć czasu na podanie światła..

Tu przerwawszy nieco, staruszka wnet ciągnęła dalej podnosząc głowę ku przybyłej. Promyk światła z okna padający na jej twarz, dał widzieć głowę uśmiechniętej staruszki, jakaby Denner lubił malować, pomarszczonej a jeszcze zachowującej ślady wielkiej piękności, której lata całkiem zniszczyć nie mogły. Pomimo wieku było wiele życia w tej maseczce ruchawej, która się porysowała fałdami mnogimi, nadto może śmiejąc się i płacząc na przemiany, a nie umiejac być spokojną.

Jeszcze i teraz drgały w niej wszystkie muskuły, biegały oczka czarne nie zagasłe i usta się mówiąc szumowały. aby uśmieszek wdzięcznym czynić Siwe loki ładnie złożone z obu stron twarzy, dobrze jej przystawały... Czarny czepeczek odbijał harmonijnie na srebrnych włosach. i cały strój z niewieścim poczuciem piękna był dobrany..

— Moja Dyakowska kochana — no co też ty mówisz na ten list Hortensyi? Ja jeszcze po nim do



siebie przyjąć nie mogę. Ktoby się to spodziewał! Piorun z jasnego nieba! Osoba tak przyzwoita, rozumna, energiczna! z takim mocnem postanowieniem niewychodzenia za mąż! Nagle—proszę cię—jeden prosty rumiany chłopak, bez edukacji, bez imienia... Żeby tak na siebie, na wszelkie względy się zaślepić! Powiadam ci — niepojęta rzecz!

— Czyż paniuńcia nie wie, słodziuchnym, zacukrowanym głosem, odparła panna Dyakowska — że kochanej pannie Hortensyi czasem się przywiduje...

— Ale — proszę cię! szczegóły! fakta! I to co się ze czcigodnym kanonikiem stało — i te pożegnania — te przyjmowania ojca, nie będące we zwyczaj — ekstraordynaryjne. Nie, tym razem to nie żadna imaginacya — ale istotne niebezpieczeństwo...

— Na to nie ma rady, jeśli to prawda! szepnęła panna Dyakowska.

— O! przepraszam cię — przepraszam! Może się znaleźć rada... ciągnęła dalej staruszka. Trzeba znać naturę ludzką, to się na to poradzić może..

Ja mam myśl... myśl doskonałą...

Nie pójdę za radą Hortensyi, ażeby familia miała występować, brać ją w kuratelę, reflektować!! Toby był sposób jedyny rozgniewać ją i przyspieszyć rozwiązanie. My powinniśmy udawać, że nie wiemy nic — a występować chyba w ostateczności... Na to zawsze czas...

Ja znam pocziwą Adę — ja zawsze się lękałam jakiegoś podobnego końca... un coup de tête. Znudzila się, to nic innego tylko nudy, zmęczenie... Chce się zmienić jedną biedę na drugą, bo na świecie tak zawsze, człowiek mienia siekierkę na kijek... a w końcu!

Staruszka przerwała i żywo poczęła wnet mówić do stojącej i słuchającej z n wagą panny Dyakowskiej:

— Jestem pewna. że gdyby teraz, korzystając z jej znudzenia. przyzwoity człowiek się trafił, do-  
brze wychowany. wykształcony... sprytny — wnetby  
parobczaka swego odepchnęła...

Wielkie dziwo. że sama jedna na wsi, otoczo-  
na koczokodanami, przystojnego chłopca sobie wybra-  
ła! Ale Ada ma gust i ma rozum. jak tylko mieć  
będzie w czym zrobić wybór, ręczę ci, głowę daję—  
da odprawę parobczakowi...

Więc myślą moją jest posłać tam pana Ka-  
rola...

Panna Dyakowska stała milcząca; nie rychło  
wyrwało jej się. nieoznaczonego wyrazu i znacze-  
nia: — Aa!!

— Tak jest. pana Karola — śmiejąc się ze swej  
myśli szczęśliwej mówiła dalej starszka—pana Ka-  
rola!...

Tylko — naturalnie. Karol zajedzie do kuzynki  
przypadkiem i zabawi czując się nieco chorym... Za  
skutek ręczę.. Karol... przyznam ci się, że kazałam  
go dziś prosić. żeby przyszedł *entre chien et  
loup*. nim moi partnerowie i goście się poschodzą...  
I dotąd go nie ma...

Co mówisz? spytała stara.

Panna Dyakowska poprawiała długie loki à  
*l'anglaise*. nie mówiąc nic. a zapytanie było wy-  
wołaniem jej zdania.

— Siadajże. moja Dyakowska, pochylając się ku  
niej dodała stara — siadaj i mów, ty jesteś *de bon  
conseil*! ho! ho!

Tęskno jakoś zawdzięczał głoszek panny. która  
siadła po cichu. i ręką chwyciła coś na stoliku bez-  
myślnie.

— Pani szambelanowa wie. że ja — zawsze niemi-  
łe prawdy mówię. Takie jest moje nieszczęśliwe  
usposobienie, taki wzrok kaleki, że zawsze widzę  
złą stronę tylko, jak niektórzy ludzie co wszystkie  
kolory widzą szaro.

— Otóż to właśnie naprawia mi czasem moje zdanie. rzekła staruszką. bom ja za nadto zwykła widzieć różowo. Co mówisz?

— A! jeszcze nic — odezwała się Dyakowska. ale powiem coś — niedobrego. Nikt więcej nie ubolewa nad stanem pana Karola nademnie... ale to człowiek zgubiony, na majątku. na zdrowiu, na duchu... Jakież nadzieja, żeby on przyniósł z sobą szczęście pannie Adzie? To drugi tom nieboszczyka jej ojca...

— A! kochanie. kochanie! co też ty gadasz. co też ty gadasz. moja Dyakosiu! przerwała uderzając w stoliczek stara, aż okulary upadły. które podniosła panna. Nie ma między nimi najmniejszego podobieństwa! Nieboszczyk Pretwicz był prosty rozpustnik. najmiłszy w świecie bałamut, zepsuty do szpiku... lekkomyślny. bez głowy. bez dowcipu, bez nauki. a Karol...

— A pan Karol ma naukę. dowcip. rozum — prawi paniuńciu. ale nie ma statku... w nic nie wierzy, z siebie i z ludzi i z cnoty i z honoru i ze wszystkiego się śmieje... Jest to chodzące widmo. człowiek się przeżył! zawołała Dyakowska.

— O! ty moja, rozumna! przerozumna główko! Jak ty to umiesz charakteryzować! rozśmiała się stara. No, dajmy na to. wszystko jak mówisz. Czego temu człowiekowi brak? Woli. Niech się ożeni z taką kobietą energiczną jak Ada. ona z niego zrobi. z tego. jak ty mówisz widma i upiora. żywego i — zobaczysz jakiego człowieka!

— Tak — mogłoby to być — ale mogłoby też być. że pan Karolby nie uległ. i że oboje byliby najnieśczęśliwsi... i mogłoby być. że onby opanował żonę nie ona jego... Naostatek czy pani myśli, że on się jej potrafi podobać...

— Potrafi!! — zawołała staruszką — o! co za to, to ręczę... Ona go widziała tylko raz. pobieżnie. dawno i uczynił na niej wrażenie... Ale naówczas Karolowi co innego było w głowie — teraz...

— Tak—teraz szepnęła panna Dyakowska — zrobi co mu kto podyktuje, bo już sam nie wie co ma robić...

Gdy panna domawiała tych wyrazów, przez nie-szczelne drzwi pokazała się najprzód w salonie smuga ostrego światła, zapowiadająca, że lampy niesiono, potem lokaj ten otworzył je, a drugi w dwu rękach wniósł ostrożnie dwie lampy z zielonemi daszkami. Światło, które z niego weszło do salonu, cały mu jego wdzięk o zmroku odebrało... Był zwiędły, wyszarzany i świecił tylko resztkami dawnych dóbr... Krzesła okrutnie wysiedziane, kanapa spłowiała, ramy zwierciadeł i obrazów poczerniały były — smutek starości wiał z każdego kąta. Śmiała się jedna tu twarz ożywiona starszyską... a naprzeciw niej siedząca panna Dyakowska, blada, przekwitła piękność, chwytająca za serce wyrazem bólu, jaki się w całym jej obliczu malował.

Gdy słuźdy weszli — przestano mówić. Lampy stanęły na stoliku i kolumnie w kątku, a w rogu salonu ukazał się zielony stolik do gry, na którym już dawniej położone czekały dwie talie kart nierozpaczętowne i marki na miseczkach. Stolik ten, ilekroć się gra skończyła, zaopatrywano na nowo, a kamerdyner, który dochód z kart miał przekazany, pilnował, aby zawsze świeże były.

Słuźący wyszli—a staruszką, która miał a czas pomysleć—cicho się odezwała.

— Bądź co bądź, z Karolem pomówię. Ma się co stać, niech przynajmniej kto z rodziny skorzysta...

Jakby na zawołanie chód się dał słyszeć w przedpokoju. I z chodu można poznać człowieka... Ktos ten przybywał z wolna, jakby mu wcale nie było pilno, jakby rad był nie przyjść wcale — stanął w przedpokoju i stał nadto długo — czy rozmawiał z kamerdynerem, czy włosy zaczesywał przed zwierciadłem, czy pył otrzepywał z sukni... Staruszką nie-

cierpliwie na drzwi patrzała, a te się otworzyć nie mogły... Szedł ten ktoś znów nie spiesząc, rękę już położył na klamce i drzwi nie miał ochoty czy siły odemknąć — naostatek uchylił je, i majestatycznie wtoczył się znudzonym jakimś posuwistym chodem, do salonu. Stał przed staruszką, skłonił się, coś poprawił w ubraniu, przypomniał ukłon paunie Dyakowskiej — i pozostał tak — czekając na to co mu powie staruszka, która z wyrazem szczerzego zajęcia podniosła oczy i głowę ku niemu...

Słowo tylko o tym przychodniu. Był to oczekiwany pan Karol, mężczyzna mogący mieć lat około trzydziestu, wyglądający staro choć był młody — ale zmieniający się łatwo, tak, że jednej godziny bywał na przemiany i młodym i niemal zgrzybiałym. Czynił wrażenie pięknej, kosztownej chustki jedwabnej, którąby ręka jakas złośliwa zmieła, potargała, zszyfonowała bez litości. Bardzo piękny mężczyzna, miał twarz rozumem promieniejącą, ale widać było, że ten rozum w nim chodził jak sprężyna w zegarze, której nie nie wstrzymuje... Zegar ten potrzebował gwałtownie zegarmistrza.

Jak młodość i starość, tak w obliczu pana Karola były wszelkie możebne wyrazy smutku, radości, gniewu, szyderstwa, obojętności pomieszane z sobą. Powiecie, że to jest niepodobieństwem? Było to coś niustannie mieniącego się, drgającego, niestałego... dziwaczного... Oczy się śmiały, a usta płakały i na przemiany... Zdawało go się to męczyć — miał postawę znużonego i znudzonego. Ubranie na nim świeże było, a już obejściem się z nim zniszczone, — strój niestaránnie włożony. Krawat uciekał w lewo, kamizelka rozpięła się nad miarę, z rękawów od koszuli jeden się schował, drugi wyglądał. Na bntach lakierowanych były ślady przyschłego błota, z kieszeni wywieszona groziła wypadnięciem chustka. Litość obudzała ta postać zaniedbana jakby z desperacji... czy

zobojętnienia na wszystko... Oczyma potoczył po saloniku i zwrócił je na staruszkę...

— Co mi babcia każe?—odezwał się głosem, w którym czuło było ziewanie. — Prawda? stawilem się na godzinę?

— Prawie!—odparła staruszka.

Pan Karol dobył z wolna zegarek z kieszeni, popatrzył nań, przyłożył do ucha i chowając go nazad, rzekł flegmatycznie.

— Zapomniałem nakręcić...

W tej chwili panna Dyakowska wstała, i nie mówiąc, parę krzeseł ustawiwszy na swych miejscach, wysunęła się z salonu. Staruszka wskazała siedzenie panu Karolowi.

— Kazałam cię prosić, bo mam pomówić o bardzo, bardzo ważnej sprawie. Gdybyś ty mnie tylko słuchać raczył nie myśląc o czem innem.

Rozśmiał się, siadając pan Karol, wygodnie usadowił, kapelusz wziął w ręce obie i rzekł:

— No, cóż babunia powie? Założę się, że znowu nieszczęśliwego rozbitka swatać będzie!

Uśmiech żartobliwy przebiegł po ustach szambelanowej...

— O! ty! ty! domysłny człecze! — szepnęła... — A gdyby i tak było! Dziś mam coś ekstraordynaryjnego, a jeśli pan Karol zechce i weźmie to seryo...

— To się ożeni, babciu!—dokończył Karol.—Tak—to rzecz wiadoma! A potem... Żona nieszczęśliwa będzie, on ditto... Powasnią się, rozejdą i będą znowu świat przeklinali i ludzi!

— To bo nieszczęście, że ty nie masz wiary w nic i do niczego ochoty!—westchnęła szambelanowa.

— Największa w świecie prawda babciu—rzekł pan Karol zimno.—tak dalece, że nawet w łeb sobie strzelić nie potrafię...

— Ei nie plółłbyś—mówmy seryo...

— Słucham, zawsze to rozerwie na chwilę... — dodał Karol.

— Połóż najprzód kapelusz. potem weź ten list i przeczytaj sam, bo mnie oczy bołą. — gdy go skończysz, będziemy mówili...

Podala mu list, który on wziął do rąk.

— O! o! trzy ćwiartki! słowo daję.

— Szeroko pisane.

— Charakter panny Hortensyi

— Ale przeczytaj.

— Cóż to być może? — szepnął Karol. i poszedł ku lampie...

Gdy oczy jego przebiegać zaczęły pismo. staruszka wlepiła w niego ciekawe, badające wejrzenie. jakby wrażenie, które list robi. odgadnąć chciała. Na twarzy pana Karola nie odbiło się nic. Czytał żywo przerzucając kartki. czytał długo dosyc, doszedł do końca. odwrócił się do staruszki i spytał jej:

— Zatem? co? Nie rozumiem.

— Jakże ty rozumny człecze nie rozumiesz tego, że Ada się nudzi, że bierze pierwszego z brzegu bo niema wyboru — i tego, że gdybyś ty tam był, łatwo byś odsadził chłopaka... a. .

— Al a! i ożenił się z Adą!!

Pan Karol zaczął się śmiać, śmiał i śmiejąc padł na krzeselko, nie mogąc się pohamować. Szambelanowa patrzyła nań urażona razem i zmartwiona...

— Cóż tak śmiesznego?

— Babciu kochana! W najszcześniejszym nawet razie, o! cóżby to było za małżeństwo! Onaby ze mnie lokaja zrobiła. a jabym uciekł z pod jej feruły piechotę...

— Wszystko to ci się tak zdaje! Ty potrzebujesz kogoś coby tobą kierował, ja ci to szczerze i otwarcie mówię, a to jest jedyna kobieta. którejbyś panowania nad sobą nie potrzebował się wstydzić.

Spoważniał pan Karol.

— Słuchaj! gusta macie jedne. Ona lubi sztukę, ty przecie i malujesz i z gliny lepisz; ona czytać lubi.



tyś wszystko przeczytał co tylko mogłeś ona lubi muzykę. tyś znawca i wirtuoz... Będziecie mogli bredzić o filozofii, o astronomii, nie wiem tam o czem. bo ty to wszystko umiesz.

— Nie, babciu — ja tego wszystkiego liżnąłem. pokosztowałem i wyplunałem. Na prawdę uniłem mało, leniuch ze mnie...—odezwał się Karol.—Zdaje mi się, że nawet w tych rzeczach pannie Adzie bym nie sprostał. . bo ona na seryo, słyszę, uczona ..

-- Ach! na seryo! to dla niej są rozrywki! Biedna śmiertelnie się nudzi! Nie chciała dotąd iść za męża, wiesz z jakiego powodu... zmieniła zdanie. . 'Ty jeden mógłbys z tego korzystać...

— Nie — odparł pan Karol. — Babcia po staroświecku wierzyysz w to, że charaktery podobne najlepiej się z sobą godzą. Największy fałsz w świecie. Właśnie najsprzeczniejsze się pociągają. Pannie Adzie trzeba takiego naiwnego chłopaka... a mnie...

— Pleciesz — przerwała szambelanowa. Ale — słuchajno — cóż ci to szkodzi jaki tydzień spędzić w Ruszkowie? Spróbuj. Nie, to nie... Czemuż nie spróbować. A! a gdybys mnie chciał słuchać?

— Pojechał do Ruszkowa! dla czegoż nie! z najmilszą chęcią. babciu kochana. Pojadę. posiedzę nawet dopóki mnie nie wypędzą, albo się sam nie znudzę... Tylko...

Pan Karol jedną ręką na drugiej pokazał jakby liczył pieniądze i ruszył ramionami. Szambelanowa się skrzywiła.

— A, na to ja ci nie poradzę, — rzekła — znasz moje położenie, jestem biedna dożywotniczka.. ledwie się schodzą końce... Nawykłam do wygódek...

— Nie, babciu kochana — toby wszystko niezem było — ale...

Odwrócił się ku zielonemu stolikowi, staruszka się rozśmiała.

— Niepocziwy. będziesz ty mi to wspominał! Toć jedyna moja rozrywka.. a ogrywają mnie. to prawda...

— Stary generał...—rzekł Karol—podgląda w karty, szachruje—radca... liczy nie wiedzieć po jakiemu. nie ręczę i za hrabiego...

— Ten się zgrywa regularnie...

— Wie. babcia—na tej grze podobno generał i kamerdynier cioci wychodzi najlepiej...

— No —ja ci dać na drogę nie mogę, ale—nie maszże sposobu? — spytała babcia. — Bo tak mi się chce ciebie koniecznie tam wyprowadzić. tem bardziej, że ów — parobczak. jak go zowie Hortensya. własnemu na Ś-ty Piotr do ojca pojechał, i miał czas jakiś zabawić.

— Rozerwałbym się—odparł Karol - w mieście ku latu nudy piekielne... Nikogo niema oprócz pocztowego proletoryatu, który śmieszny jest jak maryonетки—ale na długą metę!

Skrzywił usta.

— Nie maszże przyjaciela. coby ci pożyczył?

— A! babciu droga! przyjaciół do ostatniemu wypompował—a blaue -nie ma co o nich mówić. Nie-przyjaciele nawet już są zużytkowani.. Słowem. nie mam się gdzie obrócić.

— Żebyś na parę set rubli kredytu nie miał!! Cóż znowu!..

— Ani na parę set złotych!—zawołał Karol.

— Ale w mieście żyjesz. toż i to przecie kosztuje? spytała babka.

— A! to jest zupełnie co innego—rzekł pan Karol. — Kredyt żywego grosza. o tem ani myśleć. ale kredyt jadła. napoju. sukni. — o! tego mi na długo stać. Najprzód jestem z tymi panami w największej w świecie przyjaźni. amis cochons! Gdy mi są potrzebni. lechcę ich miłość własną. i ten środek

nigdy nie chybi. Potem człowiek, któremu grubo winieniem, lęka się zerwać ze mną, abym go nie porzucił i nie—swisnął. Babciu—co się tyczy życia w mieście teorię i praktykę doprowadziłem do prawdziwego mistrzostwa—na niczem mi nie zbywa — ale pieniędzy... Nawet argent de poche...

Zamilkł...

— Gdybym mogła, pożyczylabym ci, to jest dałabym—odezwała się szambelanowa—ale... nie mam. Jak myślisz ile by ci potrzeba?

Jak iskrą elektryczną tem pytaniem ożywiony, drgnął pan Karol.

— Ale ba!—rzekł—otóż to, że wiele. Pojechać tam i wygrać się z tem, żem zrujnowany, kawaler de bona fortuna, to się na nic nie zdało. Z dała tak ja zawsze mogę uchodzić za dziedzica Zawiechowa i Tatarski cum attinentiis, choć w Zawiechowie Żyd gospodaruje, a Tatarkę mi zasekwestrowano.. Kto tam o tem wie!...

— No!—ale przecież? spytała stara—jak ci się zdaje? ile?

Pan Karol pomyślał.

Podróż pocztą... mała rzecz, ale na miejscu służba... wydatki nieprzewidziane... Dom zamożny To i owo by się kupić musiało na drogę... Parę tysięcy złotych w kieszeni mieć, to już nieuchronne, nieodbite...

Staruszka się wzięła za głowę.

— Zmiłuj się!

Gdy się ta narada toczyła i szambelanowa rzecz może miała jakieś słowo stanowcze, drzwi szeroko się otwarły, i codzienny gość do wiścika, wszedł generał, siwy, piękny, słusznego wzrostu mężczyzna, w złotych okularach, ze wstążeczkami u fraka, z miną wesołą i ruchami nader wyszukanemi...

— Pani szambelanowej dobrodziejki nóżki całuję!.. Jakże zdrowieczko?...

Pana Karola dobrodzieja...

I śmiał się—nie wiedząc czego...

Jeszcze mu na pytanie czasu nie miano dpowiedzieć, gdy drugi partner, radca, nizkiego wzrostu, z dużemi bakenbardami, łysy, sapiący, namarszczony wtoczył się do salonu. Była to hora canonica, o której się gra wieczorna zwykła była poczynać, a moc nałogu była taka, że szambelanowa, zapomniawszy już Karola, zadzwoniła o świece... bo ostatni partner, hrabia musiał nadejść lada chwila. Nigdy nie chybiał...

Kamerdyner, dla którego głos dzwonka był zrozumiały, wprost już do świec poszedł, a radca zaledwie się przywitawszy, pociągnął do tego kąta, w którym tak miłe spędzał godziny. Szambelanowa nie potrzebując pomocy, wstała z krzesła, wyprostowała się nieco, i także zmierzała już ku zielonemu stolikowi, gdy hrabia się ukazał.

Ten czuł, że się opóźnił, pośpiesznym krokiem podszedł — niespokojny czy go kto nie ubiegł. Mężczyzna był niemłody, siwy, z ruchami gorączkowemi, poznać po nim było łatwo, że się przy kartach kłócić musiał. a z surowego wyrazu, że grę brał bardzo seryo... Zaledwie się przywitawszy, dążył na miejsce...

— O małym się nie spóźnił, rzekł — ale teraz wszystkie zegary powaryowały! Nie ma ani zegarmistrzów, ani porządku. tandeta... ludzie — rzeczy — wszystko tandeta.

— Siadajmy, nie ma co tracić czasu — odezwał się generał, który już karty z zawinięcia dobywał. tasował i pilno mu było rozebrać je, aby wiedzieć gdzie siądzie. Miejsca przy stoliku tygodniami, miesiącami były jedne fatalne, drugie szczęśliwe.. dobijano się o niektóre—krzywiono się na inne... Z chciwością każdy spojrzał na wybraną kartę — pani szambelanowa, prawem gospodyni i niewiasty, pierwsza sobie miejsce

wybrała. Ale nim siadła, skinęła na Karola, który stał zadumany, i szepnęła mu do ucha:

— Przyjdź-no jutro...

Właśnie w tym momencie panna Dyakowska wsunęła się z drugiego pokoju, gdyż miała się zająć herbatą, do której współcześnie na dalszym stoliku czuiono przygotowania.

Pan Karol rzucił na nią okiem, które spotkało wejrzenie na niego skierowane, i zbliżył się poufale do panny, jak do starej dobrej znajomej.

W oczach panny Dyakowskiej malowało się chłodne jakieś politowanie...

— Czy pani i mnie da herbaty, jeżeli na nią została? — spytał Karol.

— Mogę to uczynić — odezwała się panna. — chociaż wątpię, aby paun nasza herbata smakowała...

— Dla czego?...

— Pan z pewnością do innej przywykłeś.

— Być może, ale teraz odwykam od wielu rzeczy — rzekł Karol — pani to wiadomo... Moje zapusty skończone, posypałem głowę popiołem i post zacząłem...

— Gdyby pokutę wtrąciła panna...

— Nie, szanowna pani, dodał śmiejąc się weselej: gdyby nawet pokutę, nie pomoże mi nic. Sam wiem, że jestem zgubiony ..

Tu pochylił się ku pannie Dyakowskiej.

— Pani wiesz o projekcie? bo jakżeby babcia przed panią sekret miała? Oryginalny — podoba mi się dla tego, że i dobrego serca babci dowodzi, i jest... do niczego niepodobny!! Ja lubiłem zawsze grać i stawiać...

— Staw pan... rzekła panna zajmując się herbatą.

— Ba! nie mam już nawet na kartę... a babcia... przy najlepszych chęciach...

— A! ani myśleć, najlepiej znam stan kassy szambelanowej, bo ją trzymam; o tem nie ma co i myśleć... Ale — dodała śmiejąc się dziwnie, szydersko jakoś panna Dyakowska — ukoń mi się pan piękne, uśmiechnij — a ja — może sposób znajdę...

To mówiąc spojrzała nań oczyma, w których była i litość, i nie wiem jakie jeszcze uczucie. Pan Karol drgnął i cofnął się nieco.

Jakiż sposób? spytał...

— Ile panu potrzeba?

Zawahał się z odpowiedzią—jakby mu teraz dopiero się wstyd zrobiło...

— Al co tam! rzekł...

— Ja panu pożyczę moich własnych chłodno rzekła panna.

— Tak, tylko trzeba, byś paui wiedziała, że ja nigdy nie oddaje — rozśmiał się w żart to obracając Karol.

— Zdaje mi się, iż mnie pan nie posądzasz, aby to było dla mnie tajemnicą — obojętnie odrzekła panna Dyakowska...

Karol zmieszał się jakoś; mimo całego cynizmu, do którego przywykł, w tej chwili przykro mu się zrobiło. Traktowany był jak żebrak niemal... Rumieniec na twarz mu wybiegł i zniknął. Możeby nie czekając na herbatę wysunął się z salonu, gdyby mu w tej chwili nie podano filiżanki, przy której siadł mieszając bezmyślnie łyżeczką...

Panna Dyakowska, nie patrząc na niego, rozosiła inne filiżanki, i nie zdawała się uważać jak tego zobojętniałego człowieka dotknęła swą ofiarą... Pytał się siebie co to być mogło... próba — zemsta — obelga czy—przyjaźń??

Znał pannę od lat przeszło dziesięciu... Był czas — że się do niej uśmiechał, że lubił z nią żartować, znajdował ją rozumną i miłą... Ona od tego czasu pozostała zawsze jednostajna — on miał się czas zmienić wielce.. Smutna ta blada twarz, chłodna, zajmowała go teraz jak jakiś sfinks nieodgadniony...

Dopijał prędko swej herbaty, gdy parę znajomych weszło do salonu, pozdrowić szambelanową, która choć gry nie opuściła, przyjęła ich grzecznie i poczęła o nowiny pytać. Pan Karol korzystał z tego

i niepostrzeżony wymknął się, chociaż w progu spotkał jeszcze wzrok panny, od którego tem prędzej umknął jeszcze. Wydał mu się szyderskim... Nazajutrz przed dwunastą, posłuszny pan Karol znowu był w tym samym salonie, który po dniu jeszcze się smutniejszy, bardziej zabrukany wydawał. Przez wieczór i noc miał czas dobrze się rozmyślić nad projektem babuni... Nie przypuszczał nigdy, aby mogła znaleźć się na świecie kobieta rozumna, któraby go sobie za towarzysza żywota wybrać miała — wyobrażenie o Adzie robił sobie wielkie, nadziei więc najmniej — ale — ciekawość go brała... Nie miał na świecie nic do roboty, oprócz wywijania się wierzytelom, i różnym niewygodnym stosunkom z płcią oboją, w mieście było nudno. Kosztem babci, albo czyimkolwiek bądź pojechać na wieś, do domu, w którym wedle wszelkiego prawdopodobieństwa stół musiał być dobry i gawędka przyjemna — uśmiechało mu się.

Ciekawy był i tej Ady, którą raz widział w życiu, a o której dziwy prawiono, i tego jej ulubieńca, i sąsiedztwa...

Wszystko więc mówiło za tą podróżą. Gdy wszedł do salonu, szambelanową zastał u stolika nad małym, przypadkowym écarté z hrabią.

Skończono partyę; hrabia, widocznie wprzód ostrzeżony — natychmiast panią pożegnał i oddalił się. Zostali sam na sam.

— Cóż? rozmyślałeś się?

— Nie było o czem myśleć, babciu. Że ona się we mnie nie zakocha, to rzecz pewna... Przyznam się, że gdyby się dopuściła takiej niedorzeczności, straciłbym o niej dobrą opinię. Że ja się nie zakocham, to też pewna; gdyż jestem już w tej porze życia, kiedy panny dojrzałe nie czynią na nas wrażenia — ale wyrostki.

Babcia się oburzyła.

— Plecież... paskudny.



— Prawdę mówię — ale — to nie przeszkadza, żebyś nie miał pojechać — rzekł Karol. Babcia co wszystko wie i to wiedzieć powinna, czy panna Ada ma dobrego kucharza...

— Doskonałego! potwierdziła stara, stół ma być wykwintry.

— A zatem — doskonale! jadę, jadę — o to tylko idzie, zkad dostanę pieniędzy...

Staruszka zakłopotana zrobiła minkę osobliwą.

— Gdybyś też obiecał — nie — ale bez obietnicy postarał mi się oddać...

— Wie babcia, to nadzwyczaj będzie trudno... rzekł Karol — ja jestem człowiek otwarty. Zkądże ja i kiedy mogę to zapłacić? Nawet nie mam tego w mojej naturze, ażebym dostawszy pieniądze, długi płacił...

— Bo, bo... widzisz — szepnęła babcia — to są pieniądze — nie moje.

— Czyjeż? spytał pan Karol.

— Ta pocziwa, dobra moja Dyakowska. złote serce ona mi sama proponowała. Nie ma wiele.

Skrzywił się pan Karol.

— Tych pieniędzy ja nie wezmę! zawołał dziękuję. To być nie może... Jestem utracysz, lekkomyślny... ale — nie — nie mogę. Sama ta myśl panny Dyakowskiej, która mnie dobrze zna — jest. . jest ja nie wiem .. Nie! to się nie godzi!!

Staruszka zarumieniła się.

— Gdybyś wiedział jak mi o to bardzo idzie, żebyś tam pojechał! Choćby tylko dla przekonania się o prawdziwym stanie rzeczy. Na pisanie Hortensyi spuścić się nie można. Jej się przywiduje,.. Kto wie? może ona wcale nie myśli wychodzić za mąż.

Tu spuściła oczy babcia.

— A — gdyby — gdyby — gdyby to była, tak sobie, jakaś przemijająca fantazja... proszę cię — co nam do tego!

Rozśmiał się Karol.

— Oczywiście — nie powinniśmy w takim razie przeszkadzać, bo kto z nas, babciu, nie miał fantazyj?

Staruszka go uderzyła chustką po rękach.

— A! ty, ty, niepocziwy!

— A osoba, która ma fantazyje — dodał Karol — dla rodziny jest zawsze naówczas czulszą... Nie prawdaż?

Staruszka zamyśliła się nieco.

— Wiesz co? — No to jedź już z temi pieniędzmi Dyakowskiej, ja jej dam skrypt na siebie... i — zapłacę... Trzeba coś zrobić dla swoich... Gdyby mnie ten generał tak nie ogrywał!

— A na cóż babcia gra?

— Jak ty się mnie o to pytać możesz? ty? spytała staruszka — ty co znasz co są nałogi i coś połowę majątku puścił w karty?

— Niestety babciu, dla tego, rzekł z miną poważną Karol, obowiązkiem jest moim nieszczęśliwą dołączyć stawieć jako przykład okropny! Teraz młodzi starszych uczyć są obowiązani..

Zaczęła się niby śmiać szambelanowa, i z wolna dobywszy z pod chustki zwitek przygotowany — wcisnęła go do rąk Karolowi. Zawahał się on z początku, wstyd mu się trochę zrobiło.

— Z warunkiem, że paunie Dyakowskiej..

— Dam skrypt, bądź spokojny — odezwała się babcia — A teraz jeszcze warunek odemnie. Jedź mi zaraz. Jeżeli dwa dni zostaniesz w mieście, to stracisz pieniądze...

— A! babciu...

Daj mi słowo honoru!

— Strasznie wyszarzane... nie mogę...

— Powiedz że pojedziesz — jak mnie kochasz..

Karol rękę położył na piersiach.

— Niech się babcia nie obawia. Największą assekuracją jest to, że moim własnym interesem jest wyjechać ztąd. Pył, nuda i gorąco... Spotykam się co dzień, a to z krawcem, któremu muszę czapkować, to z szewcem, którego częstuję cygarem.. to z restaura-

torem, którego przyjacielem być muszę — a tak wolny jak ptaszek, nleceę na tych skrzydłach w światy marzeń i nadziei... do młodości zgasłej światów... odrodzić się w powietrzu wouią wsi uaszej przeje — tem! A!...

Mówił to tak pociesznie a seryo. że babcia się serdecznie uśmieła. Nie uważali oboje, iż z za drzwi niekiedy ukazywała się i nikła twarz biała panny Dyakowskiej — jakby ona tam na posłuchach stała.

Karol wstał.

— A zatem kiedy w podróż?

— Po jutrze najnie — za — wo — dniej! uroczyscie to przyrzekam... Prosiłbym tylko o tajemnicę, ażeby partnerowie babci o tem nie wiedzieli. Nigdy nie można obrachować, jakie ludzie mają stosunki. Mógłby który z nich co bąknąć, i doszłoby do jednego z tych czujnych opiekunów, którzy radzi są zawsze mnie mieć na okn. Niegrzeczny jaki, mógłby położyć — veto...

— Ale ja nie powiem nikomu w świecie.

— Babcia — wytrzyma?

— Przynajmniej do wyjazdu twojego... który nastąpi po jutrze — tak?

— Tak — pojutrze...

— Czekajże! Na tem nie dosyć ja dziś, zaraz. muszę list Dyakowskiej podyktować do Hortensyi!

— Babciu! ażeby mi nie wzięła w swe szpony!

— Nie — w opiekę.

— To wychodzi na jedno. Zmiłowania, babciu droga, litości...

— Słuchajże... Nie ominiesz jej bądź co bądź; lepiej więc, aby o tobie wiedziała wcześnie. Bądź pewien, że ci się przyda...

— Niestety! z takim sprzymierzeńcem odezwał się Karol — wyprawy się wyrzec można. Byłem z nią raz przez trzy dni, gdy odwiedzała rodzinę... Kuzynka to uasza, osoba szanowna, ale ja ją liczę — do h arpij...

— Jednak widzisz, że gdyby nie ona, niebysmy się nie dowiedzieli—i—

— Jaby'm nie mógł wyjechać — powiedział rzekł Karol ze skrucą

— Oznajmić panie Hortensyi o przybyciu twojem—koniecznle potrzeba.

Sklonił głowę z rezygnacyą pan Karol... i zabierał się do wyjścia...

— Przyjdźże na pożegnanie! zawołała za nim starszka... koniecznle. .

Przechodząc przez przedpokój spotkał pannę Dyakowską, która pozdrowiwszy go z daleka wejrzeniem, skryła się prędko. Karolowi widok jej sprawił niemal wyrzut sumienia — zarumienił się jak student i wyszedł prędko. W progu przyszło mu na myśl cały ten niedorzeczny projekt porzucić. . pieniądze odesłać babce, nie pokazywać się więcej i zostać na bruku. mimo gorącą, pyłu i nudy. Nim doszedł do mieszkania trzy razy zmieniał postanowienie — o cóż chodziło? Szambelanowa miała za niego zapłacić? A jednak ta podróż kosztem i pieniędzmi ubogiej panny Dyakowskiej — upakarzała go dziwnie i humor mu odbierała.

Cały dzień chodził zwarzony — nie swój. a że to nspособienie było mu niezwyčajne, przyjaciele i znajomi domysłali się czegoś groźnego... dopytywali go... Karol ruszył ramionami i za podejrzenia się gniewał. Drugi dzień już był do zniesienia łatwiejszy, — ludzie podobni panu Karolowi czują silnie wrażenia, ale ich długo nie zatrzymują w sobie. Pozbywają się wszelkiej zgryzoty, stawiając przeciw niej świeższe wrażenia inne — lub zamordowując ją argumentami, które jak opium u chorych. stoją zawsze w pogotowiu.

Podróż była stanowczo zapowiedziana, służącemu wydano rozkazy. przy dzwiah zamkniętych pakowano tłumoki... Wieczorem poszedł się Karol pożegnać i jak zawsze, zastał szambelanową przegrywającą i zmartwioną. hrabiego klóścącego się o renons

z radcą. generała zajętego obliczaniem punktów. a pannę Dyakowską robieniem herbaty. Ta się jednak wkrótce wymknęła i nie pokazała więcej

Gdy robó się skończył. szambelanowa wstała się rozprostować. jak mówiła — i podeszła do Karola.

— Jedziesz?

— Przyszedłem się właśnie pożegnać rzekł Karol.

— A zatem. po staremu. niech Bóg błogosławi...

Karol się skrzywił.

— Nadto mam o nim dobre wyobrażenie. rzekł. ażebym przypuszczał że w tej sprawie udział brać zechce...

— Pleciesz! syknęła staruszka — wiesz. że ja tego nie lubię.

— Milczę — i żegnam — dodał Karol — bo nie chcę przeszkadzać... i życzę szczęścia do wista.

Babka go w głowę pocałowała.

— Napisz przynajmniej co się tam dzieć będzie...

— Ja! pisać! zakrzyknął Karol z oburzeniem — a od czegoż panna Hortensya?

Zajrzyjmy raz jeszcze do dziennika panny Ady. która od niejakiego czasu więcej zapisuje piąern niż zwykle.

— Wahać się jeszcze czy jechać? dokąd? czy lato całe i jesień przesiedzieć w Ruszkowie? Doktor mi powiada. że ja żadnych wód nie potrzebuję. tylko ruchu. powietrza i — rozrywki.

— Przedziwuy! Gdyby mi mógł dać receptę na to co dla mnie ma być rozrywką? Wszystko nudzi, a nie nie rozrywa. To nawet co wczoraj było zajmującym, dziś już jest nudnem, co wczoraj smakowało, nazajutrz obrzydliwem się staje.

— Jest-li to w ludzkiej naturze, czy moja jest tak popsuta? Stan to zdrowia czy chorobliwy? O to się doktora pytać próżno... On bierze za puls i czyta z niego jak krew płynie; a duszy co tę krew popędza. wstrzymuje — co w nią ogień wlewa, co jej życie odbiera — duszy oczy doktora nie widzą... Na duszne choroby nie ma lekarstwa...

— Zawszem sądziła, że praca leczy, ale trzeba żeby ona była przymusową, ja jestem nadto rozpieszczoną, abym się do niej przynagliła. Trafiam na trudność, jak płynąca woda na kamienie, ale nie mam siły rozprysnąć się i przeskoczyć progu, wracam nazad, rozlewam się po łące... i z tego się robi nudne błoto. w którym ja grzęznę...

— Gdyby mnie co do pracy zmusiło?? Wola. Usiłuje ją mieć, potem sobie mówi: — Po co? czy to warto wysilać się, aby zabić godzinę życia. którą się i tak przemęczy...

— Nikomu potrzebna nie jestem — nikt się mną nie interesuje, ja mało kim. Ci ludzie są mi potrzebni jak sprzęty, do których nawykłam — nic więcej. Nie wiem czy kogo tak kocham jak moją Madonnę Linięgo...

— Zatem w sztuceby może trzeba szukać ratunku?? Tak, gdybym ja sama artystką być mogła i umiała.. Czuć sztukę, to nie starczy; trzeba by mieć tworzyć — toby cel dało życie i pochłonięłoby mnie całą... Za późno! za późno!

— Aby wejść na tę drogę, trzeba było całego zapahnąć dni pierwszych młodzieńczych — dziś byłabym może jak Obłęcki, który nie wie czy ma paść na kolana przed Angelikiem, czy przed Vernetem — i czy ma ua-

lować ideały, czy zabłocone buty... (Napoléon Dela-roche'a).

— Z nudów poszłam dziś odwiedzić moją dawną garderobianę, pocziwą kochaną Kasię, a dziś leśniczynę Rybacką... Tak mi jej żal! Było jej u mnie dobrze—dzieliłam się z nią wszystkiem com miała—człasto nawet myślą moją. którą się z nikim dzielić nie zwykłam... Miała wszystkie wygody życia—zapewnienie przyszłości... czego jej brakło? nie wiem. Dziewczyna rozumna, lubiła czytać, sama się wykształciła niepospolicie. Cieszyłam się nią—przywiązałam się do niej. Jednego poranku przyszła mnie uściskać za kolana... Oczy miała zapłakane... Żal jej było mnie opuszczać... żal—a jednak mówiła, że musi. Najdziwniejsza myśl—chciała wyjść za mąż na to, aby żyć w ubogim domku, na biednej strawie walcząc z tysiącami troskami; dla czego? — bo chciała być ze swoim Stasiem! Pragnęłam przynajmniej zobaczyć tego szczęśliwego człowieka, co mojej Kasi zawrócić tak umiał głowę. Wyobrażałam sobie, że był jej wart... Opisywała mi go tak idealnie! Kazałam mu przyjść Co za rozczarowanie!

— Prosty jakiś pocziwy chłopak, który nawet po-prawnie się wyrazić nie umiał... Kasia stokroć rozumniejsza i uczęszcza od niego, ładna, nie uboga... i rzucała wszystko, aby mu się poświęcić!

— Napróżnom ją starała się odwieść od tego poświęcenia—płakała, mdlała — ale chciała mieć swojego Stasia? Nie mogłam wreszcie i nie miałam prawa sprzeciwiać się jej postanowieniu. Wyposażyłam ją—sprawiłam wesele... Parę razy była u mnie; z tej eleganterki, jaką była, zrobiła się pospolitą kobieciną — ale—powiada mi, że jest szczęśliwa, choć się na tysiąc kłopotów uskarża... Ze swojego Stasia jest bardzo kontenta..?

— Zapragnęłam choć raz widzieć, jak to ich szczęście wygląda. Chodzę doskonale i z upodobaniem; wzięłam z sobą dwa moje psy podwórzowe, Tyrana



i Lyskę. które będąc wezwane do towarzyszenia mi, mało z radości nie poszalały. Gryzły się za szyję, jakby jeden drugiego chciał odpędzić—i sam tylko zostać na straży. Potem się zaczęły wyścigać — słowem. humor do zazdrości. Państwo Rybaccy mieszkają w lesie — dobry kawałek drogi, ale ja znam okolicę doskonale. Dworek leśniczego nie osobiwie wygląda, ale drzewa szumią w koło. Nie dochodząc, już widok mnie przerażający uderzył—moja pocziwa Kasia z zakasanimi rękami, stojąca nad balią i piorąca sama bieliznę. Mój Boże! do tegoż doszło, że to biedactwo musi się zameczać taką robotą! Poznała mnie z daleka, krzyknęła, i otarłszy ręce, wybiegła.. Twarz rumiana znownu, oczy śmiejące się—zdrowa. wesół... Nie mogłam tego pojąć...

— Proszę cię, zawołałam — możeż to być, ażebyś ty była zmuszona sama taką robotę podejmować! To okropnie!

— A! pani moja droga, odpowiedziała, więcej ze swawoli niż z potrzeby się to stało. Człowiek się czemś zająć musi. Mam jedną gospodynię i małe dziewczátko sierotę... Stara poszła po ziele dla krowy i chlewa. dziewczyninę posłałam po jagody... a sama stanęłam do balii. Najlepsza bielizna gdy ja sama ją wypiorę...

— Byłam niezmiernie zdumiona. Śmiejąc się, ścierając ławy i stoły wprowadziła mnie do dworku... Jedna izba trochę porządniejsza, ale i w tej razem wiktuały, książki, strzelby męża, kołowrotek, pończocha... krosienka, a na stole deska do prasowania.

Wszystko to posprzątała, aby mnie — wielkiego gościa—przyjąć...

— Ale Kasin kochana—rzekłam—ty, coś miała poik tak śliczny, caceczko, coś tak lubiła elegancję, jakże ty tu wyżyć możesz w tej prostej chacie?

— A! pani droga, odpowiedziała — gdyby nie to, że mi ciebie żal — nigdy nie byłam szczęśliwsza... Człowiekowi tak mało potrzeba! Mojego często w domu

niema, to sobie o nim myślę. to dla niego przygotuję wszystko, aby miał co lubi, gdy będzie z powrotem... roboty mnóstwo. czas pędzi jak strzała—a wieczorem siadamy i — ani się nagađać... A! mój Stach! mój Stach! żeby pani wiedziała — co to za człowiek... Nie pozorny on to prawda. mówić nawet ładnie nie umie. ale co to za serce... a nawet rozum jaki. choć cicho siedzi i chowa się prawie. A za mnie toby się dał zabić...

— Spodziewam się—odpowiedziałam. bo tyś się dla niego zabiła...

— Nie dała mi dokończyć.

— A! co też pani mówi. Czyż mogłam kiedy być szczęśliwsza?

Wtem z drugiej izdebki dał się słyszeć piskliwy płacz dziecka, Kasia porzuciła mnie i pobięła... Słyszałam pocałunki i śmiechy. aż za chwilę wyszła jak by tryumfująca. niosąc na ręku rumianego chłopaka. tak brzydkiego jak jej Stach... Koniecznie mi wmówić chciała. całując go, ściskając. że był najśliczniejszy, a ten się odemnie odwracał i bronił. aby mnie w rękę nie pocałować, czego matka wymagała. Oczy się jej iskrzyły, gdy patrzyła na dziecko, pierś drżała, cała była w niem. zapomniwała o mnie, o świecie całym... Żal mi się jej zrobiło — litość uczułam w sercu. Biedna. nieszczęśliwa istota!

„Chłopak dał się posadzić na ziemi i zabawić kłębuszkiem włóczki, został bez trwogi ze mną sam. choć ja nie miałam się odwagi do niego przybliżyć. Kasia poszła tymczasem po mleko dla mnie i chleb razowy...

„Jakie n niej wszystko ubogie. proste — czyste wprawdzie—ale biedni być muszą. gdy ich na nic lepszego nie stało. Cóż potem za los być może tego nkochanego dziecka! takie samo życie trosk. ubóstwa i pracy—jestże się czem cieszyć? Gdy wróciła, ośmieliłam się jej spytać—czy im na czem nie zbywa?..

„Rozsmiała się całując mnie w rękę...

„Ależ paui widzi! Dostatek mamy dzięki Bogu. że nam drudzy zazdroszczą... Dwie krowy! proszę pani... masło i sery sprzedają — ogród doskonały! Wieprzaków parę możemy wykarmić, drobin trochę jest... O mój Boże! karaj tak do wieku! Grosika na czarną godzinę powoli się coś zbiera! Com miała z łaski pani sukien. bielizny, wyprawy to mi na całe życie starczy... czegoż tu już więcej zapragnąć? chyba aby Pan Bóg Stachowi i mnie zdrowie dawał, i żeby się dziecina (bez uroku) chowała szczęśliwie..

„A mówiąc to. była jakby rozpromieniona. Chciała mnie oprowadzać po tem swojem gospodarstwie—ledwie mi się jej wymówić mogła.

„Niepojęta rzecz... jak ta Kasia będąc szczęśliwą spowszechniała, zwiesniaczała. Ją dawniej można było choć do salonu wprowadzić. teraz praczką! Ale rumiała, śmiejąca się i tak jej z tem dobrze, że to usta zamyka...

„Bardzo była szczęśliwa. że ją odwiedziła; ciągle mnie sama całowała po rękach i chciała chłopca zmusić, ale się uparł, aż się na niego pogniewała. Chłopiec się rozbeczał. musiała go tulić i całować.. Patrzałam na to osłupiała.. jakbym na świat weszła inny. Metamorfoza Kasi była i jest dla mnie niepojęta...

„Zdaje mi się, że wiesniacza krew jakaś, mimo wykształcenia, odezwała się w niej o swoje prawa — i wróciła do dawnego stanu. Czytałam gdzieś, że z Egiptu przysłani do Paryża na wychowanie młodzi ludzie, choć najświetniejsze tam odebrali wychowanie gdy do domu powrócą, zapominają wszystkiego i dziejeją. Tak się z moją Kasią stało..

„Jednak opowiadała mi, że wieczorami mężowi czytuje. że się jej Stach pouczył wierszy na pamięć... Jak to z sobą pogodzić?

„Wszystko zresztą mniej więcej sobie tłómaczę. jednej tylko rzeczy nie mogę... Tak jej było u mnie dobrze, tak swobodnie. wygodnie... a wołała dla tego

swego Stacha iść pod ubogą strzechę, znosić ciężką pracę. jeść chleb razowy... i śmieje się i mówi. że szczęśliwa!! Niepojęta rzecz...

„Jeszcześmy rozmawiały. gdy w podwórzu dało się słyszeć wesołe świstanie. Ktoś wygwizdywał piosenkę.

„Kasia się rzuciła do drzwi. wołając:

— „Mój Stach...

„Świstanie ustało... poszedł się ogarnąć i wkrótce miałam szczęście oglądać tego człowieka ...

„Naprawdę się go stała wciągnąć w rozmowę... ledwie umiał usta otworzyć. a taki był śmieszny. bo mu się chłopak naparł na ręce. więc stał przedemną piastując go, a dzieciak go za wąsy targał.. nie dawał mu mówić. kazał się całować...

„Nie wiem z jakim naczuciem opuściłam chatę... Zmierzchać zaczynało... Kasia prawie mi do nóg padała i lzy miała w oczach, pocziwe dziecko! Koniecznie i on i ona chcieli. aby mnie pan Rybacki. wzięwszy strzelbę, choć przez las przeprowadził.

Naprawdę się wymawiała. że mam psy z sobą. musiałam przyjąć towarzystwo pana leśniczego. który za mną postępował. Przez samą grzeczność musiałam go bawić rozmową. Trudność była wielka: dopiero gdy wpadła na lasy i zaczęła pytać o nie ożywił się i stał po swojemu wymowny. Kocha się tak w lesie jak w swej żonie: mówi, że w poluby żyć nie mógł. Powiedziałam mu. aby sobie Kasi dał przeczytać Mickiewicza opis litewskiej pnszczy...

„Wróciłam do domu dosyć późno — tak. że już pułkownik był niespokojny, a Hortensya zła... Nic mi się przecie nie stało...

„Kasia jest dla mnie psychologiczną zagadką nie rozumiem jej. ani tego jej szczęścia... Dziwnie — dziwnie! Gdy ją pytałam. czy się nie nudzi na tej pustyń? zrobiła wielkie. wielkie oczy...

— „A! proszę pani. albo to ja mam czas się nudzić!!

..Tak—a ja—tyle, tyle mam na to czasu! niestety... Zapomnijmy o Kasi.

....,O panu Robercie ani słychem... Pytałam się pułkownika, czy uie miał wiadomości od dawnego kolegi? Odpowiedział mi, że major pisać nie lubi.

„Muszę się przyznać do tego. że mi tego Roberta brak... Jest to rzecz trochę npokarzająca. Są rzeczy niezrozumiałe. Zajmował mnie tą swą naiwnością dziewczącą. tą pokorą — może sympatyą. jaką czuł dla mnie, a która była widoczna...

..Człowiek jest słaby... wdzięcznym być musi — gdy go kto—kocha...

„Użyłam tylko może niewłaściwego wyrazu, bo on mnie szanuje — uo. nie wiem tam co jeszcze, może na to nie ma wyrazu. ale on jest chłodny, pomiarkowany... i — oprócz ojca, wątpię by kochał kogo. Ma słuszość, każda miłość to niewola... A! ta Kasia!. Gdy go żegnała — widziałam wzruszonym nieco — zmieszany był może... Ja więcej jeszcze. Zrobiłam bo sobie niepotrzebny nałóg z tego człowieka. Brak mi go wszędzie. pusto, wszyscy mnie uiercierpliwiają. zdaje mi się, że ciągle czegoś niedostaje w domu... Gniewam się i przemódz nie mogę...

„Gdy się schwytam na takiej słabości, oburza mnie to... Jestem pewna, że on tam się w najlepsze bawi z sąsiadkami ojca. i o Ruszkowie, o mnie zupełnie zapomniął. Jakież mam prawo do jego pamięci? chyba jako troskliwa nauczycielka. co mu się starała rozpowijać głowę!...

..A? jestem przekonana. że ten chłopak. w innych życia warunkach, byłby niepospolitym człowiekiem... Pojęcie tak cudownie łatwe,—że nie nadto ma przeładowaną głowę myślami cudzemi. czasem mu jego własne przychodzą. którym się zdumiewać trzeba... Uczy się łatwo—pamięta—i każda go rzecz tak zajmuje. zapala, porywa... właśnie tak jak trzeba. aby być panem tej rzeczy.

.Pokazało się, że dając mu książki na drogę, przez jakieś niepojęte roztargnienie wsunęłam mu Gantier'a Włochy... Jemu to na nic nie potrzebne, a mnie było niezmiernie. Miałem wielką ochotę napisać do niego kilka słów, aby mi tę książkę odesłał. Jest tam opis kościoła S-go Marka w Wenecyi, który arcydziełem nazwać można. Ale nawet adresu nie mam, a pułkownika o to pytać nie chciałam, mogłby nie wiedzieć co sobie pomyśleć. Przy tem pisać do niego, choćby tych słów kilka — zawszeby to było uderzało. Biedna Hortensya, która mnie tak śledzi, zobaczywszy koperty, byłaby chyba zemdląła ze wzruszenia.

„Gniewać mnie zaczyna, ta troskliwa Hortensyi opieka. Co ona sobie myśli? Zdaje się być pewna, że jestem zakochana w Robercie, i że łamiąc wszystkie postanowienia moje, gotowam się wydać za niego!

„A! naówczas padłyby wszystkie nadzieje i rachuby rodziny, która spodziewa się dziedziczyć po mnie. Takie stare panny zwykle dostają kaszlu i umierają z suchot. A ja wcale dotąd nie kaszlę i do tej romantycznej słabości nie zdaję się mieć usposobienia. Co za szkoda!! takby to im było na rękę...

...Obłęcki wyprosił u mnie żebym mu pozwoliła malować portret Karusi, z której chce zrobić — myślałam, że pękne ze śmiechu — Madonnę. Poczciwa ta Sensusytywa, najmniej idealna z istot, bo jedną tylko świeżość płci ma idealną — Madonną! Trzeba na to Obłęckiego, zakochanego, aby wpaść na myśl podobną. Opierałam się jak mogłam. Karusia także zakrzyknęła, ale jednak jej to pochlebiło, jego robiło szczęśliwym — zgodziłam się, z warunkiem że posiedzenia odbywać się będą w salonie.

..Obłęcki tedy rozpoczął swą Madonnę. Patrząc na rozpoczętą robotę jego — wydziwić się jej nie mogłam. Ten człowiek ma talent istotny, któremu tylko czegoś, dla mnie nieokreślonego braknie, aby się mógł w pełni objawić.

„Oslupiałam niemal. W istocie zrobił z Karusi Madonnę — podobną do niej, a inną, tę samą a nie-skończenie od Sensytywy idealniejszą. Dożył z tych rysów nieśmiertelny typ, którego one były chybionym wyrazem.

„Cóż z tego? początek jest śliczny, kończąc portret zepsuje go, zrozpaczy i zniszczy... Bóg mu dał widzenie piękna, a nie dał siły wypowiedzenia go...

„Wszyscyśmy zdziwieni tym portretem... Karusia chodzi zamyślona przyglądać mu się, jakby rozumiała, że taką być mogła—a nigdy nie będzie.

„Obłącki na chwilę szczęśliwy—rozpromieniony. Całował mnie po rękach za to, że mu pozwoliła. Powiedziała mi wręcz: Początek jest śliczny, bądź pan ostrożny, abys dzieła rąk własnych nie zniszczył... Zostaw lepiej szkic...

„Upaść się kończyć... Madonna staje się panną Karoliną coraz bardziej...

... Hortensya chodzi koło mnie, wzdychając uad tem, że od tak dawna nie było u nas kanonika. Uduje przedemną, że nie wie o niczem, chociaż widzę aż nadto z jej oczu, że doskonale jest uwiadomiona. Chce mnie widocznie skłonić do tego, abym upokorzona prosiła o przebaczenie i powołała księdza hrabiego do Rnszkowa. Tego ja nie uczynię: musiałabym się poddać jego władzy. Podzielałam i dziełę wiele przekonani jego, byłam mu posłuszna, gdy o wyższe chodziło cele —lecz zostać niewolnicą ślepą nie mogę. Chcę wiedzieć gdzie idę, iść o mocy własnej i odpowiadać za czyny moje przed Bogiem... Zakonnica mnie uczynić chcieli, zwalniając tylko od klauzury—nie mam do tego stann powołania.

„Jeżeli kanonik sam przyjedzie, rozważywszy jak sobie postąpił niewłaściwie — nie powiem słowa, będziemy w zgodzie; lecz o zgodę prosić—nie mogę.

„Hortensya cierpi na jego oddaleniu, był to jej najlepszy powiernik. pewna jestem, że pisuje do niego i donosi mu o wszystkim. Właśnie ta okoliczność, że



— 41 —  
ma jednym listem więcej do pisania. powinny ją pogodzić z tym stanem rzeczy. Sądzę, że gdyby nie pisała tych listów, umarłaby biedna. Stało się to dla niej potrzebą, nałogiem. koniecznością... Żyje tą swą korespondencyą.

„Przebaczam jej to wszystko — jest nieszczęśliwa, nie ma domu, nie ma bliższej rodziny. — a duszę jej Bóg dał niespokojną. umysł niecierpliwy. Cierpi.

„Czasem mi dzikie myśli przychodzą. lękam się sama zostać z czasem taką panną Hortensyą... Ale i Kasiąbym być nie chciała.

„Jestże srodek między tem dwojgiem??

...„Śmieszna rzecz... Spojrzałem dziś w kalendarz!! Liczyłam dni. które upłynęły od Ś-go Piotra... Robert nie powraca. brak mi go jak szafki w pokoju wziętej do reperacyi przez stolarza. Kąt próżny. oczy na nim spoczywać przywykły. Nic—nic więcej—ale brak...

„Śmieszne! tak się do kogoś obcego przyzwyczaić. Gniewam się na siebie. Obiecywał mi powrócić rychło, ale pułkownik mówił mi znown, że ojciec chce go koniecznie osiedlić w tych Żabłiszkach... Dla czego? aby co prędzej zabił w nim młodość i zakuł go w niewolę, aby z niego zrobił najpospolitszą w świecie istotę

„Ale to się u nich szczęściem nazywał

„Więc mogłoby tak być. żeby go ojciec tam zatrzymał i nie dał mu tu wrócić wcale? Gniewałabym się. Ta stara szlachta trzyma się zawsze starego systemu despotycznego rozporządzania dziećmi... Tak bywało dawniej: syn stał u progu. póki mu ojciec usiąść przy sobie nie dozwolił. choć miał może siwiejące włosy. Major, jako stary wojskowy, mniś był skłonny do rozporządzania się jakby jeszcze komenderował batalionem. I biedne dziecko padnie ofiarą tego despotyzmu.

„Ale to być nie może — aby nie wrócił. a jeśli przyjedzie, zbuntuję go trochę... bo mi żal go. będzie zgubiony. Idzie mi o niego samego! Takie zdolności...

tyłe szczęśliwych usposobień. i wszystko to miałoby pójść marnie, dla tego, aby pozyskać parafiańskie, nudne szczęście z krupnikiem i sztuką mięsa...

„Przypuszczam. że trzy dni był w drodze, że trzy napowrót potrzebował — że cztery zabawił u ojca... Czyż nie dosyć? Jużby powinien być z powrotem. Może powrócił i nie przyjeżdża?

„Ale zdaje mi się, że to nie może być. Nadto pocziwy chłopak ma dla mnie... szacunku... sympatii. Ja pierwsza otworzyłam mu oczy na światy myśli. na niebiosy sztuki...

„Byłby niewdzięczny dla nauczycielki.

„Niewdzięczność!... wszak-ci to najnaturalniejsze uczucie. którego się zawsze spodziewać należy. Człowiek, któremu się uczyniło dobrze, mści się za to upokorzenie. Przypomina sobie, że był sam bezsilny, że potrzebował pomocy... Tak mówią głębocy moralisci. i dla tego — niewdzięczności zawsze się trzeba spodziewać...

...„Obłęcki podarł Madonnę, ja to przewidywałam. Chodzi i rozpacza. Od dwóch dni nie pokazywał się u stołu Karusia jest zmieszana i niemal także lzawa...

„Robiłam postrzeżenia nad tą naturą Sensytywy. Widoczna w niej jest potrzeba (słabość — choroba) kochania. Póki był Robert, rzucała nań takie wejrzenia. żem się obawiała, aby się w chłopcu pożar nie zajął—szczęściem jakoś nie widział ich. czy nie zrozumiał. Teraz Obłęcki poruszył czułe jej serce. ma litość nad nim, a to uczucie graniczy już z czulszem jeszcze... Obłęcki się w niej kocha... Trzeba wszelkimi możliwymi sposobami rozerwać to póki pora...

„Mirosław sam nie ma z czego żyć, i nigdy nie będzie czem innem, chyba dobrym restauratorem, gdy u nas nie ma czego restaurować... Karusia, choćbym ją wyposażyłam, niewiele mieć może. Oboje w najwyższym stopniu niepraktyczni... jutro głód. Miłość ta nie wytrzyma pierwszej próby ostrzejszej. Przyszłość była-

by okropną. Lecz jakże mam poradzić na to? Odprawić Mirosława—umrze z głodu, lub się biedak zwała: Karusia nie ma domu, jest sierotą, a do klasztoru wstąpić nie chce. Namawiałam ją; mówi, że nie czuje powołania. Al! ma powołanie najwidoczniejsze być nie-szczęśliwą!! To jej nie minie. Z Oblęckim czy z kim innym, los ten ją spotka, i wszystkie nsiłowania moje będą próżne...

„Mówiłam o tem z pułkownikiem. Mój zacny godny stary Brandys, ma czasem pomysły, które mn serce dyktuje — zadziwiające. . . Gdym mn poufnie się zwierzyła co myślę o Karusi i Oblęckim, rzekł mi:

— „Wie pani co?” może się mylę, ale mnie się zdaje, że gdyby Oblęcki miał na sumieniu los ukochanej istoty, gdyby był zmuszony do pracy porządnej i systematycznej — możeby to jedno zwróciło jego fantazyę, a dało talentowi siłę...

Przyznaję się, że to mnie nderzyło, chociaż pułkownik bardzo się mylić może, a ja tej biednej Sensytywy na taką niebezpieczną próbę wystawiaćbym nie chciała...

...„Hortensya od dni kilku jest dziwnie jakos niespokojna, jakby się czegoś spodziewała. Nie mnie tego w sobie ukryć... Chodzi, wygląda przez okna, a gdy jej pytam, odpowiada:

— „Ale nic—cóżby być mogło?

„Coś jednak jest niechybnie, znam ją dobrze. Spodziewa się kanonika? Cos wie i kryje się z czemś, nie mogę odgadnąć co mi grozi. Nadto jest szczęśliwa, ażeby to nie miał być figiel jakiś dla mnie.

„Tym swym niezwycajnym stanem rozdrażnienia, wprawila i mnie w jakiś niepokój, który mnie męczy.

„Ma talent prawdziwy, nawet gdy na pozór nic nie robi, przyprowadzać mnie do niecierpliwości...

...„Pod pozorem książki mi potrzebnej, prosiłam pułkownika, aby posłał się dowiedzieć do Zaha-jów, czy ten nieszczęsny Robert nie wrócił?

„Cały dzień chodziłam potem jak panna Hortensya, czekając na odpowiedź pułkownika, i śmiałam się sama z siebie... Po obiedzie zaturkotało, jak dziecko pobiegłam do okna, sądząc, że Robert przybywa. Ekwipaż i konie nieznajome... jakiś gość z daleka... Hortensya stała w płomieniach...

„Oznajmiono mi przybycie przejeżdżającego tędy do dóbr swoich kuzyna, pana Karola...

„Widziałam go raz kiedyś — niepamiętam nawet jakie na mnie wówczas zrobił wrażenie. Słyszałam potem o nim wiele, miał się bardzo rzucać po świecie. tracić, grać, żyć. ale go chwalono jako niezmiernie zdolnego szalawilę.

„Nowy więc przedmiot do studyów mi się następcza. to przerwie nudy... H a v e l“

Wieczorem dnia tego o którym powyższy urywek dziennika wspomina, nadjechał pan Karol do Ruszkowa... Ada wyszła naprzeciw niemu z tą swobodą. jaka ją zawsze cechowała. przyjmując kuzyna. Jedno spojrzenie na niego. dołączone do tego co dawniej o nim słyszała. starczyło, aby wiedziała już z jakim rodzajem człowieka ma do czynienia...

Pan Karol ani nmiął. ani mógł. ani zamierzał być kim innym niż sobą. Nie zmienił ani tonu. ani sposobu obejścia się. Miał wszystkie możliwe wady. ale kłamać się wzdrygał...

Powitał dosyć oryginalnie.

— Wiem—rzekł—że przybywam za późno i że powinienem był pani złożyć moje uszanowanie albo bardzo oddawna, lub już nie prezentować się wcale... Tymczasem przemogły okoliczności, chęć poznania pani... i oto jestem...

— Lepiej późno niż nigdy! — odpowiedziała Ada...

Karol się rozśmiał.

— Gdyby to prawda była... ale zdaje się być przeciwnie, w razach wielu...

Spytała się go piękna gospodyni, czy daleko ma do tych dóbr do których jechał? Pan Karol się zmie-

szał nieco. ale, że istotnie majątek gdzieś miał zasekwestrowany o mil dwanaście — przyznał się do jego położenia... Był nawet tak otwarty. że od razu powie dział, iż go jedzie od wierzycieli ratować. Ta szczerość stała się w tym razie niezręcznością. Adzie na myśl przyszło. że knzynek przybył może w celu wezwania jej kapitałów na ratunek. Udała, że nie dosłyszała, ale to zrobiło złe wrażenie.

Pan Karol tak był wesół, iż je wkrótce rozproszył. Poszedł się przywitać z panną Hortensyą. zaprezentował się Sensytywie i zapoznał z przybyłym pułkownikiem. Ruszków mu się podobał niezmiernie.

— We wszystkim tu — odezwał się — czuć, widać artystkę... Pani nią być musisz... Słyszałem o tem — ale na miejscu przekonywam się, że mówiono za mało...

— A pan lubisz sztukę?—spytała Ada.

— A! pani — zawołał Karol—jak do innych rzeczy tak i do niej, mimo wielkiej miłości szczęścia nie miałem... Jestem niedoszłym malarzem, skonfundowanym rzeźbiarzem... a całe życie i we wszystkim — partaczem...

— Odjęło to panu smak do dzieł artystycznych? czy nie?—spytała Ada.

— Bynajmniej — zatrulo mi tylko lubowanie się niemi, bo jak sztylet w serce za każdym dziełem godzi mi w pierś ta myśl: Czemu to nie ty stworzyłeś?

— To egoizm... — odezwała się Ada — dosyć żeby piękno istniało — nie idzie o to kto jego twórcą, całej sztuki twórcą jest — ludzkość...

Karol skłonił głowę... Zaintrygował go jakiś obraz. począł mu się przypatrywać. Panna Hortensya tę zbyt napreżoną wysoko rozmowę przerwała zapytaniem. czy pan Karol niewidział kogo z rodziny?

— Ostatnią widziałem panią szambelanową. która jest w jak najlepszym zdrowiu, gra w wista jak zawsze na partnerach jej nie zbywa, i przegrywa codzien

regularnie z nadzieją nigdy się nie spełniającą. odegrania się jutro.

— Ale to życie najszcześniejsze w świecie. — odezwiała się Ada — jeśli wist ją zajmuje...

— Ja także utrzymuję, iż szambelanowa jest szczęśliwa... a jej humor tego dowodzi...

Wrażenie, jakie tego dnia uczynił pan Karol, nie było ani złe, ani dobre... Wesole jego opowiadania, ucinki, żarty z samego siebie, wywoływały czasem błady uśmiech na usta gospodyni. Siedziała jednak zamysłona, i po niejakim czasie, dała mu zabawić pannę Hortensyę, zaledwie nań zwracając uwagę.

Wydał się jej — pospolitym...

Gdy wieczorem pułkownik go odprowadził do mieszkania, które dlań było przeznaczone pozostała w pokoju Hortensya pospieszyła do Ady z pochwałami dla gościa.

— Co też to za miły humor! jaki dowcip! i jakie doskonałe maniere! Po naszym zwykłym towarzystwie, wydał mi się jak jakiś przysmak paryzki po razowym chlebie...

Ada milczała.

Nie znajdujesz? — spytała natarczywa kuzynka.

— Bardzo jest miły — odparła gospodyni — ale typ to salonowy, zwyczajny, który mnie nie zachwyca...

— A! cóż ciebie zachwyca — szepnęła Hortensya.

— To prawda — nie mam darn zachwycania się, i zazdroszczę go szczerze tym wszystkim, którzy go w podziale dostali — odpowiedziała Ada. Ale — cóżem winna, że mnie taką Pan Bóg stworzył! Ja natem najgorzej wychodzę...

— Przyznaj jednak — poczęła uparta panna Hortensya — il est très comme il faut.

— Nie przeczę...

— I bardzo przystojny mężczyzna?

— A! nie przeczę i temu...

— W dodatku artysta...

— Jak Obłęcki—niestety!

Hortensya poprawiła mitenki.

— Zna się na obrazach niepospolicie... Gdys mu kazała przynieść twoją madonnę... zachwycił się...

— Tak, lecz wyznał, że właśnie tych szkół starych, w których jest duch i myśl, nie uznaje jako sztuki skończonej, tylko jako niemowlęce jej wyrazy... a...

Tu przerwała sobie Ada, przypomniawszy, że ma wi do Hortensyi, którą sztuka niecierpliwiła...

— Zdaje mi się—dodała panna Trocka—że gdy go bliżej poznasz, oddasz mu sprawiedliwość.

— Myślisz, że on... —prędko podchwyciła Ada — że on tu... zabawi?

Bystrem wejrzeniem zmierzyła ją Hortensya.

— Ja nie wiem nic—sądzę, że to zależeć będzie od ciebie...

Ada zamilkła.

— Jedzie ratować majątek, niepodobna go wstrzymać, mógłby ponieść na tem szkodę.

Panna Trocka zakąsiła wargi i dała dobranoc.

Nazajutrz pan Karol rano poznał się i poprzyjaźnił z pułkownikiem, do którego poszedł w odwiedzin. Brandys był nim zachwycony. W dziedzińcu spotkał się z Obłęckim, którego poznał wczoraj n stołu; zaszedł do jego pracowni, w której nic nie było, oprócz olbrzymiej osłej głowy nad łóżkiem węglem narysowanej. P. Mirosław w przystępie fantazyi jakieś zrobił ją podobną do siebie... Był to wyrok, który ferował. Tu zaczęli mówić o sztuce zapalczywie. Obłęckiego też p. Karol wprowadził w zachwycenie... Jak dwaj starzy dobrzy przyjaciele poszli wprost ztąd do biblioteki i zanurzyli się w sztychach...

Ztąd ich na śniadanie wołano. O wszystkich tych wyprawach pana Karola. Hortensya była już za-



wiadomiona. i oznajmiła o nich Adzie. Karol gdzie stąpił, serca zdobywał. Przy śniadaniu rozmowa szła nader żywo, najmniej do niej jednak mieszała się Ada, choć ją greczny Karol ciągle wyzywał. Pośepna jakaś wstała dnia tego.

Gość potrafił nawet ośmielić, rozgadać i rozśmieszyć Sensytywę, dla której był z niezwykłą grzecznością. Panna Karolina nawykła do tego, że na nią mało zwracano uwagi, była zakłopotana temi szczególnymi względami, jakie jej okazywał pan Karol—lecz nie gniewała się za nie. Miał ten talent, że nawet nieśmiałość jej rozproszył i wprowadził ją w usposobienie wesołe...

Umiał także zyskać sobie Rubaczka... i greczny był nawet dla Musiatowskiego. Wszystko to przychodziło mu łatwo — nie kosztowało go nic... a wielka prawda życia, dozwalała mu do każdego odezwać się z jego tonu... i w myśl jego...

Zdaje się, że pan Karol, czy instrukcje miał takie, czy sam sobie to ułożył, a chciał gospodyni przypodobać się szczególnie wyznawaniem swej wielkiej miłości dla sztuki. Tego dnia jednak Ada nie dała się wciągnąć w żadną rozprawę dłuższą, i była jakby tym artystem ciągle występującym, znudzona.

Z dała, w milczeniu czyniła nad kuzynem postrzeżenia, które w końcu wprowadziły pana Karola w zakłopotanie pewne. Czuł się egzaminowanym, badanym... odjęło mu to nieco śmiałości... Po śniadaniu poszedł oglądać park z panną Hortensyą i Karoliną, do których się Obłęcki przyłączył; gospodyni wymówiła się zajęciem.

Do stołu przyszła trochę rozjasniona, powiedziałszy sobie, że nie godzi się być zbyt okrutną dla biednego człowieka. Pan Karol przestał mówić o sztuce; mówił o ludziach i nie oszczędzał ich... Ada kilka razy rozśmiała się szczerze...

— To smutno — odezwiała się do niego — że gdy w naszych oczach drudzy się tak śmiesznie wydają, my też musimy równie dla nich być śmieszni.

— Kompensacya! — rzekł Karol — musimy się na tym smutnym świecie bawić choć kosztem bliźnich...

— Czyż pan znajdujesz świat smutnym? pan? — zapytała Ada...

— Właśnie ja — mój śmiech jest z rozpaczey... A nic nie można wziąć na seryo na tym padole! — rzekł Karol...

— Nic na seryo? — spytała gospodyni.

Karol już jakos nie wiedział co odpowiedzieć, kilka tak razy zapędziwszy się zbytnio, splątał i nie powiodło mu się.

W ogólności czuł się w obec Ady nie swoim: kobieta ta imponowała mu dziwnie. mieszała go: zdawało się czasami, jakby zaglądała w duszę i dobywała z jej głębin... łachmany, które tam zostawiły zmarnowane lata. Ile razy bardzo puszczał engle swej wesołości, ostudzała go swą powagą; gdy próbował być poważniejszym, ona żartobliwy ton przybierała...

Karol jednak dawał sobie rady jak mógł, ale obecna rozmowie panna Hortensya doprowadzona była do ostatecznego gniewu, który zaledwie pohamować była wstanie. Ruchy jej, wejrzenia, konwulsyjne drgania zdradzały usposobienie, które ją nareszcie wyгнаło z pokoju do listów. Wieczorem było trochę muzyki...

Rubaczek grał coś z Mendelsohna; okazało się, że panu Karolowi i muzyka obcą nie była, co dziwiło nieco Adę. Chciała, ażeby coś grał...

— Proszę mi darować — szepnął Karol — ja jestem jak ten nieszczęśliwy Oblęcki, o wszystkim mówić umiem, a nic robić nie potrafię. Gram jednego mazurka Chopina znosnie... i — więcej nic...

— Zagrajże go...

Zmuszony siadł pan Karol i grał owego jednego z pierwszych mazura Chopina, z którego Kalkbrenner tak nieszczęśliwie napisał waryacje. Grał go dobrze—lecz tak jak go wszyscy grający nieźle wygrywają. Rnbaczek wywdzięczając się chwalił, panna Ada milczała...

— To najpiękniejsze, żeś pan był posłuszny i zagral—rzekła mu.

— Ofiara miłości własnej — odparł śmiejąc się Karol.— do której mnie pani nie sądziłaś zdolnym...

— Zawsze najtrudniejsza z ofiar—ale pan grasz go bardzo—przyzwicie.

Uklonił się obżałowany.

Tak go jednak bawienie gospodyni zmęczyło, że jak tylko mógł, zwrócił się ku Obłęckiemu i przy nim długo pozostał. Potem przysiadł się do panny Karoliny i ciągle wywoływał jej rumieńce... bo się wstydziła tego pierwszeństwa, jakie jej dawał. Panna Hortensya znajdowała też to w najwyższym stopniu nieprzyzwoitem. i zabierała się mu uczynić uwagę, ale przystąpić do niego nie miała sposobu.

Po długich strategicznych poruszeniach, panna Trocka znalazła się wreszcie z Karolem na werandzie.

— Panie Karolu! co pan najlepszego robisz! Ta biedna Karnusia spali się od rumieńców... zlituj się... U nas nikt na nią nie patrzy, ona zwykle siedzi w kątku! Dajże jej pokój!

— Dla czego? spytał Karol.

— To nie przyzwicie...

Gość się rozśmiał.

— Wie kuzynka—to bardzo ładne dziewczę...

— Ale gąska...

— A cóż to szkodzi? spytał Karol. to właśnie ją czyni taką uroczą...

Zżymnęła się stara panna.

— Przyznam się, żeś się większego taktu spodziewała...

— A còżem popełnił? pytał chłodno wzięty na kon-  
tessatę.

— Ja nie wiem... ale spójrz pan na Adę.

Przez cały dzień jest jakby podrażniona, nie  
swoja... Nie umiesz się jej przypodobać.

— Daję słowo, że próbowałem — odparł Karol. Za-  
jeżdżałem ze wszystkich stron... niepodobienstwo.  
Zdaje się, że musi być przeciw mnie uprzedzona  
walczyć z tem trudno.

— O! tylko się proszę nie zrażać! Trzeba chcieć-  
mieć wolę... a wszystko będzie dobrze...

Pan Karol ziewnął nieprzyzwoicie; Hortensya  
coś mu szeptać poczęła, wysłuchał cierpliwie.

— Wiesz kuzynko, rzekł po chwili, nie trzeba so-  
bie nadaremnych czynić złudzeń... Ja z góry wiedzia-  
łem, że się podobać nie potrafię... na wylot mnie prze-  
nika, aż mi się zimno robi.

Ona w początkach z każdym jest tak surowa...  
ale to przechodzi. Ja ją znam... Cierpliwości... znajdź  
pan jakiś powód — acceptable, do zatrzymania się  
dłużej...

— Jakiż? na przykład?

— Mogłbyś sobie... nogę wywichnąć?

— A! rozśmiał się Karol... ale — jeżeli doktor na-  
dejdzie...

Panna Hortensya szepnęła mu, że z doktorem  
Wellerem jest jak najlepiej. i że mogłaby go uprzedzić.

— Na to się nie zgadzam! zawołał Karol — doktor-  
by się śmiał i paplał. byłbym skompromitowany. Jeśli  
będzie potrzeba, znajdziemy pretekst inny, ale daj mi  
się pani rozpatrzeć lepiej... i rozrachować z siłami...

Narada na werandzie zamknęła się głośniejszą  
rozmową, która tajemniczą miała osłonić...

Myliła się jednak i panna Hortensya i Karol.  
jesli sądzili, że nie zostali odgadnięci. Bystre oko  
Ady dojrzało wszystko, domysliło się uknutej intrygi  
która w niej politowanie wzbudzała. Przeczuwała, że  
list panny Trockiej sprowadził tu owego kuzyna... Nie

chciała okazać oburzenia. ale postanowiła zmieszać im szyki chłodnem przyjęciem, któreby odebrało ochotę do dłuższego pobytu.

Czyniła to z tem silniejszą wolą. że co moment spodziewała się powrotu Roberta, a nie chciała, aby Karol się z nim stykał. Czy się lękała, aby go swym cynizmem dowcipnym nie popsuł, czy wołała nie mieć świadków... trudno zgadnąć...

Przecznwać mogła. że ten naiwny Robert wyda się zepsutemu Warszawiakowi bardzo pospolitą istotą — bolał ją ten sąd zawczasu... Jednem słowem w ciągu tego dnia przybyły mógł się dowodnie przekonać, że choć przyjęcie było nader grzeczne i nprzejmne. było zarazem ostrożne i chłodne... Nie zapraszano go wcale... bawiono umiarkowanie. unikano szczególniego coby pobyt przedłużać mogło. Pan Karol objawił ochotę studyowania sztychów — ale się okazało. że zbiór był tak obfity, iżby — zbyt wiele wymagał czasu... Sam Obłęcki uczynił tę uwagę... a w dodatku. był nieuporządkowany. Pułkownik, który w prostocie ducha. nadzwyczaj pana Karola polubił. dostał ostrzeżenie na ncho, ażeby.. był z nim oględny... bo ma wadę wysmiewać wszystko. Brandys niezuł się jak zimną wodą obłany i — cofnął się nieco...

Dnia tego smutna odeszła do siebie panna Hortensya — głowa ją bolała. Karol, ten Karol, na którym tyle pokładano nadziei — zawiódł, nie odpowiedział zaufaniu — okazał się niezręczny!! Co tu począć było?

Siadła z lamentem gorzkim donieść o tem szambelanowej.

Z Żabliszek ani się wyrwać było Robertowi; ile razy przebąknął o tem ojcu, major się niecierpliwił.

— Ale co cię tam korci do tych Zahajów... Daj bo pokój! Jeszczem się tobą nie mógł nacieszyć, nie nagadaliśmy się, tysiąc rzeczy jest do rozważenia.—a ty mi się rwiesz, jakby cię tam co ciągnęło...

Roberta ciągnęło w istocie—ale składał swą niecierpliwość na siano, na blizkie żniwa i na gwałtowną potrzebę dozoru gospodarstwa w czas tak gorący.

— Niech tam... kaczki zdepczą to gospodarstwo, co mi ma syna odbierać—mówił major... No — to zgnoją! i cóż?

— Inwentarza nie będzie czem przezimować... mówił Robert...

— To dam tysiąc złotych na kupno siana, przecie mnie to nie zrujnuje... Kat je bierz...

Milczał więc Robert chodząc pośepnie. Po dwu nieudanych próbach u marszałka i Surymów, major z Erdziwiłłem, zrobiwszy przegląd sąsiedztwa, raz jeszcze, wybrali dalszy nieco dom, poprzyjaźniony, a nawet skolligacony z Jazygami, państwa Ochmańskich... Było do Tarajewa, gdzie mieszkali, tegie trzy mile, nie litewskie—ale prawie ukraińskie, w połowie piasku, na pół takich grobelek, po których żebyś z doktorem do chorego jechał, pospieszyć niepodobna...

Z Ochmańskich nikogo na Ś-ty Piotr nie było w Żabliszkach, bo on sam dawno z łóżka nie wstawał... Kiedys nogę mu jedną odjęto i z lewej strony w twarzy miał drganie .. Leżał nieboraczysko, a żona się sama musiała krzątać około domu, gospodarstwa i dzieci. Za wzór też stawiono ją w okolicy żony,

matki i gospodyni. bo skarga nigdy z ust jej nie wyszła. a miała dużo do zniesienia. Rodzina się składała z dwojga dzieci. dorosłej córki panny Leokadyi i dziesięcioletniego syna. który się do szkół wybierał. Tarajewo było dobrą wioską, i gospodarstwo dzięki czujności pani Ochmańskiej szło dobrze. ale choroba, którą mąż był dotknięty. trąła wszystko. Z natury żywy i niecierpliwy. pan Jędrzej Ochmański nie umiał się zgodzić z wolą Bożą i położeniem swoim. żył się. stękał. narzekał i żonie spokoju nie dawał. choć potem. pomiarkowawszy się. czule ją za to przeproszał.

Z dała stary dworzec w Tarajewie może piękniej się obiecywał. niż był w istocie. Był to jeden z bardzo u nas rzadkich domów odwiecznych mnrowanych. niegdyś zapewne zameczek. którego wałów ledwie ślad pozostał... Z komnat jego przerobione pokoje. zastosowane później do potrzeb domowych. zachowały ten charakter odwiecznej budowy. który nie był wygodny dla mieszkańców, ale ciekawy dla obcych. Okna miał nieregularne i małe. mury niezwyklej grubości. drzwi ciasne. a i rozporządzenie dziwaczne. Do tego wszystkiego potrzeba było przywyknąć. Stare drzewa otaczały go do koła. z baszty narożnej zrobiony lamus. drugiej kaplica. bardzo poważnie go przyozdabiała. Z daleka też dojeżdżając. Robert. który tu nigdy pono nie był jeszcze. powziął wyobrażenie wielkie o Ochmańskich... Z bliska daleko skromniej się to przedstawiało... Wyszedł naprzeciw gościom służka w szaraczkowym surduciku. włożonym na przedce — i wnet ich do bawialni wprowadził. w której jeszcze nie było nikogo. Sprzęt w niej stary ntrzymany troskliwie nie miał innego wdzięku nad ten. jaki wiek nadaje... Od dawna snadź nie tu nie przybywało — wszystko było dziadowskie, ojcowskie lub starsze jeszcze. i niewykwintne. Lecz czysto i ntrzymana salka sklepiona. ze swemi wązkimi okienkami wgłębionemi, przy których z obu stron by-



ły siedzenia deskami pokryte. kwiatkami i frankami odżywniona, w których niewieścią rękę czuć było, mile czyniła wrażenie.

Pierwszy, który wyszedł do gości, był dziesięcioletni chłopak, syn gospodarza, wesoly i ciekawy Moduś .. który poznał majora — bo go już gdzieś widział. Ten całując go w rękę starym obyczajem, zapewnił, że matka natychmiast służyć będzie. Ponieważ wysłanie Modusia do gości wydało się zapewne niedostatecznem, wybiegła po nim, także uprzedzając i zwiastując matkę, panna Leokadya...

Nie było to jedno z tych niewiesticich zjawisk olśniewających i zdumiewających urodą a blaskiem — ale skromna piękność wiejska, która jednak po wpatrzeniu się w nią, zdumieć mogła rysami, zarówno jak wyrazem twarzy, idealnej niemal czystości i spokoju. Piękność ta była jakby przysłoniona i utajona pod skromnością dziecięcą, zdawała się nie wiedzieć o sobie... Dopiero gdy zbliżywszy się do majora podniosła spuszczone dotąd powieki, długimi ciemnymi rzęsami obszyte, a z pod nich czarne, wielkie, jakby we łzach utopione pokazały się oczy, gdy się jej małe usta otwały i ożywiły lice swym ruchem — gdy się z nich dał słyszeć głos sympatyczny, słodki... panna Leokadya objawiła się im choć w części — czem była. Trochę pomieszana, z dziecięcą niezgrabnością nie bez wdzięku, poczęła krzesła posuwać... zapraszać — i nie śmiejąc spojrzeć na Roberta, przyjęła jego zaprezentowanie przez ojca.

Trochę smutku widać było na twarzyczce, który się aż nadto smutnem położeniem rodziny tłómaczył.

— A jakże się ma ojciec pani? spytał major

— Zawsze jednakowo, westchnęła panna Leokadya — nie może się z łóżka poruszyć — doktorowie obiecują co lato... ale się jakoś nie polepsza.

— Ale widzieć pana Jędrzeja będziemy mogli? zapytał major.

— Ja sędzę—odezwiała się panna,—ojciec wdzięczny jest bardzo gdy go kto odwiedzi, mama także, bo jego to cokolwiek rozrywa...

Nareszcie nadeszła pani Ochmańska, osoba w średnim wieku, z twarzą niegdyś piękną, dziś zmęczoną i wymizierowaną, której usiłowała nadać wyraz niby wesóły. Lecz czoło jej nawykłe się marszczyć, nie mogło się wypogodzić i koło ust pozostał wyraz boleści... Major pośpieszył ku niej, całując z uszanowaniem podaną mu rękę.

— Nie mogłem się wstrzymać, abym syna kochanym knyznowstwu nie przywiózł i nie zaprezentował — rzekł. Choć mieszkamy nie tak bardzo daleko od siebie, choć nas krew łączy, jakoś okoliczności zrządzily, żeśmy — to jest ja — poprawił się — zaniedbałem Tarajewo. Przyjeżdżam prosić o przebaczenie. A no — trudno państwu się narzekać... kiedy mój dobry, pocziwy Jędrzej chory... Chorym gościu na nie.

— O—przeciwnie—pośpieszyła sama pani. Jędrzej tylko że się ruszyć nie może—a zresztą nie jest źle i gościom rad. Ja także... Pozwólcie abym mu o was oznajmiła...

I wyszła pani Ochmańska spojrzawszy na córkę, która znowu majora poprosiła siedzieć i szukała zapewne przedmiotu do rozmowy, cała zaturbowana... Niesmiało mierzyła oczyma to ojca, to syna. Moduś stał oparty o krzesło, ręce zawiesiwszy na poręczy i uśmiechał się do obu, rozpoczynając tem znajomość poufalą.

— Chodzisz już do szkoły? spytał go major...

Panna Leokadya odpowiedziała za brata, że się dopiero przygotowuje — i że za rok ma pójść do drugiej klasy.

Chłopak to głową potwierdził.

— A masz ochotę do nauki? pytał major.

Panna Leokadya w odpowiedzi nie mogła brata zastąpić, popatrzyła na niego żartobliwie, dzie-

ciak się zarumienił, oczy schował. ale zebrawszy się na odwagę, rzekł w końcu:

— A jakże...

Uśmiech siostry niekoniecznie to potwierdzał. a figlarne oczy chłopaka. więcej zdolności do swawoli niż do książki obiecywały.

W czasie tego małego epizodu, Robert się przypatrywał pannie, która mu nieco Karolinę — Sensytywę przypominała. więcej ruchami i fiolkową skromnością swą. niż twarzą... Z twarzy była piękniejsza daleko, a Robert, którego artystyczny smak wykształcił się na dziełach sztuki w Ruszkowie, z przyjemnością poglądał na regularny profil i na wyraz całego oblicza. które mimo młodości swej i świeżości. już taką było powagą okryte... nieprzebraną. naturalną.

Nie patrząc na nią prawie — zobaczył. że miała rzęsy śliczne, ząbki perłowe. że ręce jej na kolanach złożone były kształtów najwytworniejszych. że — piękność to była w całym znaczeniu wyrazu, choć na pierwsze wejrzenie nią się nie wydawała. Szukał wady jakiejś — nie znalazł. Wyrażała się z prostotą i naturalnością. a wdziękiem razem... Raziła go tylko jakimś chłodem nie młodzieńczym. jakimś zawczesnem znużeniem. Było w niej coś smutnego... Nie długo mógł postrzeżenia te robić. bo gospodyni weszła. zapraszając do meża... Przez wąskie drzwi i pokój przechodni, w którym stało łóżko syna, po wschodkach weszli do jasnej. ale firanką zieloną przyćmionej. izby chorego.

Pan Jędrzej leżał na łóżku. z brodą zarosłą, żółtą. z wyrazem cierpienia w twarzy wychudłej. któremu drganie nerwowe jednego policzka dodawało coś nieprzyjemnego dla patrzących — otoczony był wszystkim czego mógł zapotrzebować. aby ciągle o pomoc wołać nie był zmuszony. Na stolikach stały fiaszki. napój, lekarstwo, książka do nabożeństwa. różaniec, klapka na muchy. mnóstwo drobnostek... W głowach wisiał stary obraz Matki Bożkiej... Pomimo otwartego

w części okna. czuć było w pokoju jakąś woń szpitalną—ziołka i leki—chorobę... Smutno tu było. a rodzi-  
na co się ciągle widokiem tej niedoli karmić musiała,  
wesołą być nie mogła.

Jędrzej obie ręce wyciągnąwszy witał krew-  
niaka.

— O! o! panie Piotrze — cięży na was grzech... da-  
wno, dawno należało mnie odwiedzić! Ale trudno o to  
prosić—bo u mnie i ze mną niewesoło. Bóg ci zapłać  
żes choć teraz sobie starego przypomniał.

Syna wam przywiozłem—odezwał się major...

— Cożes się za ślicznego chłopca dochował! zawo-  
łał rekami wskazując siedzenia stary. Siadajcie!  
A słyszałem, że kawaler kędys daleko. aż w Brzes-  
kiem trzyma dzierzawę...

— Tak jest — odparł major—Zahaje.

— Wiem. wiem—znam ja te Zahaje —niezły mają-  
tek —począł chory—ta to kolo Ruszkowa Pretwiczow  
Ja to dawniej w tamtych stronach gościłem nieraz —  
miałem stosunki i rodzinę. I tego niepocziwego roz-  
pustnika Pretwicza. co zonę zgubił. że się mało nie  
zagryzła... znałem też. O! lotra był kawał!

Stary lubił mówić. bo często zbyt długo milczec  
był zmuszony. ciągnął więc dalej:

— Mówili mi. że córka po nim została, także jakas  
osobliwego nabożeństwa istota — co za mąż iść nie  
chce i różne ma wybryki.

Robert zczerwienił się niezmiernie. i nie mogąc  
wytrzymać. przerwał z cicha:

— Ja mam przyjemność znać pannę Adę, i mój oj-  
ciec także ją poznał — ale — muszę przyznać. iż mam  
dla niej największy szacunek i nie widziałem w jej po-  
stępowaniu nic takiego...

Major się skrzywił nieco — a gospodarz się po-  
prawił:

— A może to ją ludziska ogadały...

Tęskając się może, aby Robert w pochwały zbyt i namiętną nie wdał się obronę, sam major zabrał głos.

— A byłem i ja tam, choć nie po dobrej woli. rzekł. Trzeba wiedzieć, że najlepszy, mój przyjaciel, towarzyszy broni—pocciwy, zacny Brandys — ale i wy go bo znacie...

— Znałem go! a jakże! potwierdził chory.

— Otóż Brandys — qno titulo nie wiem, podobno z pokrewieństwa dalekiego — przyjął u niej obowiązki rządcy i plenipotentą. Wpadłem do niego i dostałem się na dwór. Jasnie Wielmożnej Pretwiczówny. .

Bardzo to pochwalam, że mój drogi Robert jej broni i chwali, bywał u niej w domu, życzliwie przyjmowany, jest racya. Ale —prawdą a Bogiem, co ty powiedziałeś o niej ze słuchu, panie Jedrzeju, nie jest także bez podstawy. Vox populi, vox l'i.

Robert się zmieszał, spuścił oczy, milczał, bo jakże miał z ojcem w obcym domu spór wieść? a major korzystając z tej bezbronności syna, namyślnie może — otwarcie się poczał wywnętrzać ze zdaniem o pannie Adzie.

— Panna rozumna, przystojna —mówił dalej—pięknie wychowana, ani słowa. Nie przeczę... Pogadawszy z nią widać kobietę do absolutnych rządów przywykłą, która wyrzekłszy się małżeństwa... szuka sobie zabawy i rozrywki... jak mnie. Prawda, że innaby trzymała małpy i papugi; ta zbyt rozumna na to — ale trzyma muzykantów, malarza... kuzynki różne i cały dwór... całą gotowalnię na posługi jejmości...

Bawi się dziś ogrodem, jntro malowaniem, to na bożeństwem—to książkami. Nie naszych obyczajów i nie naszego świata kobieta... Temu i acindziej, panie Robercie, choć jej wielki admirator nie zaprzeczysz...

Zwrócił się ku synowi, który z głową spuszczo-  
ną siedział posepny. Nie śmiał już ojcu zaprzeczać,  
a zdanie to o Adzie bolało go...

— Nikt jej nie rozumie—mówił w duchu...

Stary pan Jędrzej musiał być zaciekawiony  
wzmianką o Pretwiczównie, bo oczyma wodząc po oj-  
cu i synu, badać się ich chcieć zdawał.

-- Historye! odezwał się — a to ciekawa rzecz — da-  
lipan... Więc widać, że majątek uratowała...?

Robert uczył się choć na to pytanie do odpowie-  
dzi upoważniony. bo znał lepiej od ojca stan majątko-  
wy Ady.

— Nietylko go oczyściła z długów, rzekł, ale znacz-  
nie pomnożyła...

— To była i tak pańska fortuna... wzięli ją po Bo-  
guszach... rzekł chory.

Wszystko to ona winna nie sobie — rzekł ma-  
jor—ale poczciwemu Braudysowi. który zaprowadził  
oszczędności, gospodarstwo... no — i poszczęściło mu  
się...

— Ba! ba! przebaknął Ochmański ręką wychudłą  
w powietrzu wywijając—to bardzo bogata być musi...  
a dla czegoż za mąż iść nie chce...?

Major zrzekając się już odpowiedzi, zdał ją na  
syna i spojrzał nań. jakby mu wskazywał:

— Mów.

— O ile wiem. odezwał się nieśmiało Robert. zra-  
ził ją nieszczęśliwy los matki, na który patrzała. To  
było przyczyną postanowienia... iż za mąż nigdy nie  
pójdzie.

Pokiwał głową chory, a major się począł złośli-  
wie nśmiechać. Obejrzał się jednak, chcąc odezwać,  
czy nie było kobiet i chłopaka. przy którychby się wa-  
hał tak dobitnie myśl swą wyrazić.

Zobaczywszy dopiero. że ich nie ma — odezwał  
się głosem stłumionym:

— Słuchacie i wierzycie! Nie idzie za mąż naj-  
przód. że się jej chce rozkazywać. a mężowiby zawsze

trochę się submittować musiała... to pierwsza przyczyna. Powtórę nie trafiła na swego — a na ostatek—nie jest stara—jeszcze jej inna fantazyja przyjsć może...

— Aby tylko nie jaka... hm! chrząknął Ochmański i ręką wywinął w powietrzu... hm! coś to wszystko dziwnie mi wygląda...

Robert siedział jak na mękach, nie śmiejąc podnieść oczu, lękając się, aby go postawa i twarz nie zdradziły, nie wiedząc co robić, a prosząc Boga, aby ta niefortunna rozmowa jak naprędzej się skończyła.

Zdaje się, że major właśnie był jej rad i przedłużał. Czy że sam na sam z synem podjąć mu jej było trudno, a przy obcym śmieje się spodziewał wygadać—czy że milczenie mu już zbyt dokuczyło--począł natychmiast:

— Brandys, który formalnie jest w uwielbieniu dla swej pani—wciągnął mnie do niej. Dwa razy tam byłem na obiedzie i mogłem się dobrze przypatrzeć. Jeżeli jej w istocie kiedy po innych fantazyjach przyjdzie ostatnią wydać się za mąż — nie wieszuję temu kogo uszczęśliwi!...

Piękna panna i rozzumna — nie stara—ale nawykła do swawoli. i mąż tam smutną będzie grał rolę, której i nieprzyjacielowi nie życzę...

Nie jestem ja—dodał major—za tem, aby kobieta zahukaną niewolnicą być miała. Tego u nas, chwala Bogu, nie widać dawno. Lecz głowa domu, mężczyzna ma swe prawa... jak go pod pantofel wpakują—nie wart funta klaków...

— Masz słuszość majorze — odezwał się chory — święta prawda! Z takiej kobiety co do panowania nawykła, dobra żona być nie może. Mąż u niej będzie pierwszym sługą...

— Gorzej, dodał major — a no spodziewam się, że u nas o takiego nie łatwo będzie, co by się dla jej tam milionów w niewolę zaprzedał! Miałbym go za—cztery litery!



Wszystko to mówił tak gorąco major, iż Robert nie mógł się od tej myśli powstrzymać, że to było na jego intencję powiedziane.

Przykra ta rozmowa przeciągnęłaby się może, gdyby sama pani nie przyszła oznajmić, że herbatę podano, i prosić na nią gości. Stary pan Jędrzej, któremu pozostać w samotności było przykro—ozwał się:

— Jejmościunni moja, daj panu Piotrowi tu herbatę, my ze starym pogawędzimy.

Robert z przyjemnością wstał z krzesła i poszedł za gospodynią do bawiańni. Tu panna Leokadya gospodarzyła... Odetchnął swobodniej — ale rozmowa, którą prowadzić musiał, wzburzony i zgryziony, nie poszła tak łatwo. Przedmiotu do niej trudno znaleźć było, choć sama pani go szukała. Spytała Roberta o okolicę, w której mieszkał, o gospodarstwo, i szczęściem gospodarstwo to uratowało go. Pani Jędrzejowa sama w Tarajewie gospodarzyć była zmuszona, zajmowało więc ją i rozumiała je dobrze... Panna Leokadya, która z drugiej strony stołu, naprzeciw Roberta usiadła, mało się do rozmowy tej mieszała. Matka jednak widocznie chciała, aby w niej udział wzięła, bo kilka razy się ku niej zwracała.

Tym sposobem, gdy pani Ochmańska wyszła niosąc coś mężowi, Robert i śliczna panna zmuszeni byli ciągnąć dalej sami—poczętą rzecz gospodarską. Leokadya nie miała przesadzonej bojaźliwości Sensytywy, raz przemógłszy trudne poznanie się pierwsze, zaczęła być coraz smielsza. Robertowi podobała się jej naturalność i prostota. Kilka razy spojrzeli sobie w oczy i — jakby ten wzrok im coś powiedział—poczęli być coraz odważniejsi...

Na zapytanie Jazygi, panna mu odpowiedziała, jak żyli cicho, samotnie i jak jej z temby dobrze było, gdyby nie słabość ojca.

— A do zabaw pani nie tęskni? spytał gość...

— Ja do nich nie przywyklam... i mnie wszystko bawi — rzekła Leokadya. A! gdyby ojciec był zdrów

tylko, czegoby żądać więcej! Zajęcia mamy dużo, nudzić się czasu nie ma... Ja po kilka godzin na dzień ojcu czytnę gazety i książki... trochę mamie w gospodarstwie pomagam... tak miło czas schodzi...

— A czytanie to nie męczy pani? zapytał Robert.

— Nic a nic—owszem, zajmuje mnie—mówiła Leokadya. Nawykłam do głośnego czytania... Staramy się, żeby ojcu na tem nie zbywało, bo czemużbyśmy go zabawili? Rzadko kto do nas przyjedzie — bo to uko-  
mu nie miło—na chorego patrzeć...

— Muzyką się pani nie zajmuje?

— A! nie! choć bardzo ją lubię — odpowiedziała panna. Czasu na nią mało dom szczupły, a choremu ojcu przykreby było granie. On tego nie znosi. — A pan?

— Ja także lubię muzykę, ale jej nie umiem—rzekł Robert... Gospodarstwo też na nią czasu niewiele zostawia...

— Ma pan sąsiedztwo?

— Jeden szczególnie dom, w którym nieco bywam częściej... krótko odpowiedział Robert.

Mówiono potem o sąsiedztwie Żabliszek... a panna Leokadya z wielkim taktem i delikatnością unikała wszystkiego coby choć najlżej drasnąć kogoś mogło. W każdym znajdowała coś do pochwalenia.

Siedzieli tak sam na sam, wcale już nie ciężąc sobie wzajemnie, gdy — *Dens ex machina*, zjawił się we drzwiach wędrowny Erdziwił. Czy wiedział o wycieczce majora i w sukurs mu przybywał, czy go traf tu jakiś przypędził — dosyć, że znalazłszy pannę Leokadyę z Robertem samych w bawialni — w progu stanął.

— Al! al! gość nie w porę gorzej od Tatara! — rzekł — dalipau nie przeszkadzam! Miałbym na sumieniu tak ślicznie państwo, jak para gołębi gruchaliście, że grzechby śmiertelny był im przerywać.

Leokadya zerwała się zarumieniona, lecz roz-  
smiała się wesoło, zapraszając Erdziwiła.

— Chodź pan — pomożesz nam do rozmowy!

— Ale gdzie zaś! z miną filuterną odparł przybyły. Tam gdzie dwoje młodych ludzi z sobą rozmawia, gdyby anioł się na jasnych skrzydłach z Nieba spuścił — byłby natrętem... Mówcie sobie dalej — ja ruszam do pana Jędrzeja... Wszak tędy droga?

Wskazał na drzwi, — gdy wtém nadeszła Ochmańska.

— A! sędział Oto gość!

— Widzi pani! gość — prawda — ale w złą godzinę. Tak mi tu ślicznie ta para turkawek gruchała... a ja wlażem...

Rozśmiała się smutnie pani Jędrzejowa.

— Pan Robert pierwszy raz dziś u nas, rzekła — to nowa znajomość...

— Otóż właśnie... najgorzej, żem przeszkodził, bo pierwsze spotkanie zawsze najważniejsze...

Uśmiechali się wszyscy. Robert najmniej, bo go te żarty ostudziły, i przypomniwały mu, ażeby był ostrożny. Erdziwił zdawał się go chcieć unyśnić na drodze prowadzić i dać też pannie do myślenia...

Pani Ochmańska wyszła z nim do męża. Leokadya została znowu z Robertem — nie przerażona wcale żartami sędziego. Robert tylko siedział zastygły i sztywny. Spójrzała nań kilka razy ukradkiem, jawnie, przemówili coś — nie szło owo gruchanie... Zaledwie słów starczyło na to, ażeby milczenie nie stało się przykrem...

Nadbiegł braciszek, który się przybliżył do Roberta. spowiadając mu się z tego, że już z fuzyi strzelał, i dwa razy sam na kucyku jeździł. Wdała się w to siostra — i znowu wesoło mówić zaczęli... Chłopak był wielkiego animuszu do strzelby i apetytu do konia... Wzdychał do tego, żeby nie na kucyku, ale na dżym mógł jeździć prędzej... Zaręczał, że dubeltówkę udźwignie i pilniejsze mu to było daleko, niż wstąpienie do klasy drugiej, którą rad był, razem ze wszystkimi innemi, co najprędzej przestąpić...

Z tych zachcianek śmiała się panna Leokadya, a Robert się im trochę sprzeciwiał. Dość, że śmiano się i hałasowano, aż w pokoju chorego poruszyły się krzesła. słyhać było pożegnania, i Robert się też ruszył do chorego... W istocie major zbyt długą nie chcąc go męczyć rozmową, a mając kawał drogi do domu, choć go bardzo na noc proszono, wybierał się do Żabliszek. A że i Erdziwiłłowi w tę stronę jechać wypadało zapraszał go na jedną bryczkę. aby droga przy gawędzie krótszą się wydała.

Przy pożegnaniach proszono bardzo, aby Jazygowie o Tarajewie nie zapominali, panna Leokadya spokojnem. przyjaznem wejrzeniem pożegnała Roberta. uczepił się go braciszek wiodąc aż na ganek... Tu konie stały już. Erdziwiłł siadł z majorem, Robert na przedzie i ruszyli.

Sędzia czy namówiony. czy z własnego usposobienia, od wrót poczynszy począł przesładować młodego Jazygę panną Leokadyą.

— Widziałem jakeś acindziej do niej słodkie oczy robił, schwytałem was na uczynku. Ona też nie była od tego... Gruchaliście slichnie...

— Ale pierwszy raz ją widziałem!

— A cóż to ma do tego! Miłość się zapala od jednej oczu iskierki — lub od razu albo nigdy. I nie ma się czego wstydzić! jak Bóg miły, bratku... Panna dobrze urodzona, piękna jak bogini... dobra. poczcziwa... a o posagu ja coś powiedzieć mogę... Sto tysięcy złotych. jak lodu! Wyprawa... stosowna... Czegoż chcieć!!

Major spoglądał tylko na syna, pykając z fajki. którą za wrotami zapalił. — oko jego śledziło wyraz stwarzy Roberta... Robert się śmiał swobodnie.

— Będzie na to czas, mówił.

— Otóż bo nie — pannę ci z przed uosa nechwyć. Owoc dojrzały — posag w gotówce... Nie ma się co ociagać, trzeba dobijać targu...

— Cóż ty na to? bąknął pół żartem major—he?

— Prawda, że acindziej, panie majorze, pobłogosła-  
wiłbyś bez wahania! wtrącił nie dając czasu na odpo-  
wiedź Robertowi Erdziwiłł.

— Ja?! z duszy i serca! choć dziś! Dom znam...  
matka najzaciejsza kobieta—a córka to jej obraz ży-  
wy.. Z duszy i serca...

— No — ot i rzecz skonczone. Zawracajmy ko-  
nie, a do jutra zapijemy zrękowiny — zawołał Erdzi-  
wiłł...

W żarty to obracając, Robert się śmiał, lecz na  
duszy mu było okrutnie ciężko...

— Cóż ty na to? powtórzył major.

— Kochany sędzio — odezwał się młody Jazyga —  
może to dawniej się tak ludzie brali... ale my dziś du-  
żo mniej śmieli jesteście... Rozpatrujemy się—waha-  
my... Ja zaś, szczególnie... nie mam wcale ochoty iść  
tak prędko do ołtarza...

— Oj to źle! przerwał sędzia... musisz się po liber-  
baronowsku bałamucić, a to licha warto.

— Ja? ja? zaprotestował Robert...

— Ja go też bronić muszę, bo ci słowo daję, że się  
najprzykładniej prowadzi, a na folwarku trzyma takie  
koczkodany...

— O! o! pfe! i to źle — i to nie dobrze—wołał Er-  
dziwiłł. A to z waćpana pociechy nie będzie. Młody—  
nie umizga się, pije kiepsko... w karty nie gra...  
żadnego pojedynku nie miał. cóż? na Kapucyna się  
kieruje...

Major się śmiał. a Erdziwiłł z ogniem mówił cią-  
gle...

— Człowiek człowiekiem... homo sum... wiesz, co  
mówi rzymski poeta? Ja tych cnót nadzwyczajnych  
nie lubię, bo to potem najczęściej pęka jak bomba—co  
sobie leży jak niewinnutki kawał zardzewiałego żela-  
za — nagle — brzdęk!... i krew się leje... i ludzi potłu-  
kła... i ruiny po niej...

Sędzia mówiąc spoważniał, Robert sposepniał..

— Wszak pan tego nie mówisz seryo? zapytał.

— Bierz kochanku, bratku jako chcesz—dodał sędzia. — Jestem przyjacielem twojego ojca. życzę ci jak najlepiej. Żał mi twojej młodości — czas zaczynać żyć...

— Ja dopiero się uczę życia — rzekł Robert skromnie.

— Usus te plura docebit. tu teorye nie potem! wyrwał się Erdziwiłł. Żeń się bratku.. to cię najlepiej rozumu nauczy. .

Ojciec jak w tęczę patrzył w syna. którego zmęczenie widoczne. naostatek w nim wzbudziło litość. Lokciem nieznacznie trącił sędziego. aby dał pokój i—urwano... sprowadzając to na żarty...

Robertowi jednak humor popsnął sędzia tak. że aż do miejsca. w którym Erdziwiłł miał wysiąść, nie prawie nie mówił. Gdy przyszło się rozstawać, stary kawaler chwycił za rękę Roberta. .

— Serce, bratku—nie gniewaj się na mnie! Dalibóg choć zbredzę co. to z dobrego serca... Ja was obu kocham... Robert go uściśnął — zostali z ojcem sami. Major wzdychał fajkę paląc... w końcu rzekł:

— To pocziwe człeczysko ten sędzia—czasem papla nadto — ale zabawny... Nadokuczał ci dzisiaj... Hm — a to się ja zapomniał spytać — jak ci się tam podobało? cóż? Leokadya?

— Miła panienka... ludzie zacni... rzekł obojętnie Robert.

— Mówiliście z sobą?

— Dosyć długo...

— Roztropna? nie prawdaż?

— Bardzo...

Lakoniczne te odpowiedzi nie zdawały się zaspokajać majora. który ciężko wzdychał.

— Ja tyle tylko powiem. że takiejbym sobie synowej życzył jak ona... Nic ująć. nic dodać...

Ciągle te przymówki w końcu niemal zmusiły Roberta do wytłómaczenia się otwartzego. Pocałował ojca w ramię...

Ojcie drogi — kochasz mnie trochę? rzekł z wyrazem dzieciinnym.

A! Robcin! potrzebaż ci to mówić! Nad życie! Tyś pociecha moja, tyś oczu moich żrenica... I począł go ścisnąć gwałtownie.—Co ci jest?

— Jeśli mnie kochasz, ojcie—na teraz, dajmy ożenieniu pokój. Zmuszając mnie do posłuszeństwa, uczyniłbys mnie nieszczęśliwym... Nie mam do małżeństwa ochoty.

Major zdumiony, zasmucony, fajkę od ust odjąwszy, z głową zwieszoną —nie odzywał się słowa.

— Ja, rzekł zimno — zmuszać cię nie myślę, to pewna. Nie żę się kiedy nie chcesz, nie narzucę ci żony; ale jedno ci powiem Robciu, i—jak cię kocham, od tego nie odstąpię. Gdybyś chciał się żenić niedoręcznie, przeciw mojemu przekonaniu —musisz czekać aż ja umrę; bo—pókim żyw, nie pozwolę.

I powoli—stanowczo, powtórzył:

— Pókim żyw —nie pozwolę.

— Żenić się też wcale nie myślę — odparł Robert.

— Zatem nie mamy o czem mówić. Zgoda. Pamiętaj tylko com powiedział. Znasz mnie, słowo u mnie rzecz święta. Nie powiem go bez rozmysłu, ale wy-rzekłszy—jak Bóg miły—dotrzymam...

Można się było domysleć do czego to zmierzało z dala... Robert pocałował w ramię ojca. Dojeżdżali do Żabłiszek—obaj smutni i milczący...

Przy wieczerzy prawie nie mówili z sobą. Major wyszedł z fajką na ganek, Robert mu towarzyszył.

— Miałem intencję—odezwał się ojciec.—obwieść cię po całym sąsiedztwie, abys się w pannach rozpa-trzył. Przyznaję, że cię myślał żenić — ale gdy tak stanowczo objawiłeś mi twój wstręt do małżeństwa, po co mam i ciebie i siebie męczyć, i ludziom dawać niepotrzebnie do myślenia? Dajmy temu pokój.



— Mnieby do Zahajów wracać potrzeba—odezwał się Robert...

— A! do tych Zahajów! — krzyknął gwałtownie stary żołnierz — no to jedź. Nie będę cię wstrzymywał—co robić! Nie wiem co cię tam ciągnie — ale — ciągnie.

— Gospodarstwo...

Major odwrócił się, splunął i zaczął coś nucić... Robert nie sniał się już odzywać.

Rozeszli się po tak niemem pożegnaniu. Syn w swym pokoju chodził długo, myślał, wzdychał... wi-dać było po nim okrutną walkę. Ojca kochał, a musiał mu się narażać. Siła niezwyciężona, potężna ciągnęła go w istocie — tam, tam! — gdzie go niewysłowione wiązało uczucie... Rozumiał dobrze, iż było bez na-dziei, że się do niego przyznać nie mógł, że ono go okrywało śmiesznoscia — zwyciężyć się przecież nie mógł, nie chciał. Z tą walką, niepewnoscia, rozpaczą było mu dobrze — gdyby mu je odjęto — żyćby nie mógł.

Młodość Roberta pod czujnem ojca okiem spły-nęła w dziewiczej nieswiadomości świata. Ojciec ustrzegł go od zepsucia... ale nie mógł zapobiedz, by młodzieńcze serce nie zapragnęło poezyi życia. Ogień, który drudzy gaszą w rynsztokach za młodu, zachował cały, niewygasły, ku ideałom nim strzelając. Pierwszą kobietą godną tego imienia, do której mógł się przybliżyć — była Ada: pierwsza jego miłość obudziła się dla niej — spóźniona, lecz tem silniejsza. Spotęgowały się w niej wszystkie duszy, serca i młodosci pragnienia... Miała też siłę olbrzymią, i musiała tym niepojętym magnetyzmem działać nawet na tak osty-głą istotę jak była Ada. Są w życiu tajemnice... Pierwsze uczucie ma moc, której późniejsze nie mają. Dla tego ono prawie zawsze jest zwyciężkie.

Robert wychowany był w obrzydzeniu lekko-myślnych miłostek... nie spowszedniała mu kobieta — nie zwała się miłość, ani zwątpił o jej niebiańskiem

znaczeniu i charakterze... Cóż dziwnego, że rzucone żarzewie taki w nim pożar rozpałiło — tak pochłonęło całego?

Traf zrządził, że ta pierwsza miłość musiała go związać z istotą zimną, rozbrataną ze światem, która się wyrzekła uczucia — przyjąć go nie mogła — a samem swem położeniem stała tak daleko od niego, iż ku niej sięgnąć było zuchwalstwem. Robert widział to jasno, ale rozpaczliwe uczucie było jeszcze dla spragnionego serca błogosławieństwem...

Skończy się to jakąś katastrofą — mówił sobie — niech się kończy jak chce, ale niech trwa... Ja nie wyznam jej nigdy, że ją kocham; za cóżby mnie miała odtrącić? Jest dla mnie dobrą... Ona chce może, abym ją tak kochał z milczeniem i pokorą niewolnika... Będę ją kochał jak każe — ale kochać ją muszę...

Miłość ta zamknięta w sobie nie mogąc się wyłać, objawić, poskarżyć, tem była dla niego straszniejsza. Był to ten ogień ukryty, co wyżera wnętrza ziemi, aż — dnia jednego — otchłań się otworzy i skorupa zwęglona w nią zapadnie...

Nazajutrz nie śmiał Robert mówić o wyjeździe; ojciec chodził smutny jak noc — patrzył w okna, nie śmiejąc spojrzeć na syna... Łzy mu się chwilami w oczach kręciły. Trwało to z małemi zmianami dni parę, gdy major raz wpatrzywszy się w Roberta, dostrzegł bardzo wyraźną zmianę na jego twarzy. Znikały z niej rumieńce, oczy mu wpadły, błydy był. Spytał go, czy nie chory? Robert zaprzeczył temu... Ojcowskie oko widziało jasno — syn cierpiał... Nie mógł tego znieść major — sam wspomniął mu o wyjeździe.

— Kiedy ty chcesz do tych Zahajów jechać?

— Czekam aż mi ojciec pozwoli...

— A! na Boga! ja ci nie bronie przecie. Jestli masz potrzebę — jedź...

Spojrzał, rumieniec wytrysnął na twarz Roberta; stary się odwrócił żywo, i zimno rzekł odchodząc:

— Zadysponuj konie... ja cię choć o parę mil przeprowadzę...

Natychmiast wydane były rozkazy — orzeźwiał Robert tak widocznie, iż ojciec się tem niemal więcej niż zmizerowaniem przeraził. Według przyrzeczenia trzy mile przeprowadzał go major do popasu, nie śmiejąc już ani słówka bąknąć, ani żadnej dać przestrogi, ani napomknąć... o niczem. Dopiero gdy się już rozstawać mieli, ściskając go, niespokojny major powtórzył:

— Robciu — serce moje — pamiętaj o tem cosmy mówili powracając z Tarajewa... Do niczego w świecie zmuszać cię nie będę... ale — niech Bóg nas od tego strzeże i uchowa — gdybys przeciw mojemu przekonaniu postąpić chciał, pomyślał o czemś. co by ci życie zawiązać mogło, uczynić nieszczęśliwym — nie pozwolę!! Jam stary—jam żył—ja znam świat—ty masz złudzenia młodości... Ja chcę, ja muszę cię widzieć szczęśliwym!

Począł go niemal płacząc ściskać major, a gdy się ze swych objęć wyrwali, oba podobno łzy mieli w oczach... Z popasu Robert dniem i nocą pośpieszył do Zahajów. Ludzie byli przekonani, że tak niespokojny był o swe gospodarstwo.

Pan Karol siedział w Rnszkowie z ręką na temblaku — cierpiał mocno z powodu nieostrożnego nderzenia się o drzwi... Chciano sprowadzić doktora Wellera, lecz się wyprosił od tego, zaręczając, że sam jest po trosze lekarzem i że się arniką i homeopatya wykuruje...

Ada w kilka dni po jego przybyciu, gdy się umiał jakoś wybornie wcielić w towarzystwo jej i domowników, mogła go prawie nie widzieć i nie wiedzieć o nim. Nie zawadzał jej na pozór wcale, bo go ignorowała, chociaż nie chybiała mu bynajmniej — ale ją niecierpliwił straszliwie. Rada się go była pozbyć — nie wiedziała sposobu.

Zręczny bardzo pan Karol starał się stać niewidocznym prawie — zabawiał się z pułkownikiem, z Obłękim, z Musiatowskim nawet... z Habichtem w ogrodzie — czytał u siebie książki, przesiadywał dużo w bibliotece, czasami godzinami rozmawiał po cichu z panną Karoliną — a o wyjeździe mowy nie było.

Gospodyni też nie okazywała, by się go pozbyć chciała, dowodziła mu tylko, pokazując się rzadko, rozmawiając z nim niewiele, iż jej był najzupełniej obojętny. Karol właśnie może tę obojętność tak wyrazistą, po swojemu brał za dowód, że się go oha-  
wiała.

Siedział, aby się pomścić; siedział, aby się doczekać Roberta i — przeszkadzać. Byłoby go to bawiło... Nigdy w życiu, w najlepszych towarzystwach nie trafiło mu się być tak sponiewieranym — bywał nie-nawidzony, nigdy traktowany tak jakby nic nie zna-  
czył i nie istniał. To miłość własną jego obrzucało do najwyższego stopnia. Dowcip, nauka, talenta, zręcz-

ność — w oczach tej kobiety. okazującej mu grzeczną. ale największą pogardę. nie znaczyły nic. Było za co pogniwać się i zemsty zapragnąć.

Oczuł to. że mści się samem siedzeniem w Ruszkowie, z kąd go z tą ręką na temblaku. nie można było wypędzić — a obiecywał sobie jak najdłużej ją na nim nosić.

I on już niecierpliwił się, że Robert nie przyjeżdża.

Do siedzenia upartego i to się przyczyniało mo że, iż pan Karol — w najdziwniejszy sposób zajął się panną Karoliną. Czy go pociągnęła młodość. świeżość. skromność. niesmiałość. czy fantazyja zepsutego człowieka. któremu się zachciewa nagle przedmiotu wczoraj pogardzanego—któż to zrozumie?

Ani sam przed sobą. ani przed nikim się z tem nie wydał. ani przyznał sobie. że go mocno zajmowała — lecz ten dowcipnis i szyderca. przy krosienkach małowównej i trwożliwej panienci, z przyjemnością całe przesiadywał godziny. Nikt go nie posądzał o skłonność. bo się jej domysleć. przypuszcic było trudno.

Ada obawiała się tylko. żeby z niej nie szydził. Panna Hortensya była pewna, że to są żarty... a może chęć obudzenia zazdrości w gospodyni. Śmiał się z siebie. ruszając ramionami pan Karol — gdy wieczorami powracając do mieszkanka. przynosił kwiatek ukradziony z bukietu Sensytywy... i składał go na stoliku z uszanowaniem...

— Wracam do błogich czasów studenckich! mówił sobie. Sam siebie nie poznaję. Jednak gdybyni się raz zakochał na prawdę — byłoby to niedarowane głupstwo. Ale to. szczęściem. być nie może...

Z każdym dniem rosła niespokojność gospodyni: Robert mógł nadjechać! Na ten powrót czekała tak długo. a zatruc miała go przytomność tego nieznośnego szydercy...

Chwila, do której biło jej serce—choć się do tego nie przyznawała nawet przed swoim dziennikiem—ta chwila, której łaknęła — mogła się zmienić w najutrapieńszą męczarnię. W końcu na myśl przyszło panie Adzie że ten uparty kuzynek, siedzący załogą, mógł w ten sposób wyczekiwać na jakąś pomoc pieniężną dla swych interesów. Znała go dosyć z tego co słyszała o nim, aby go o to mógł posądzić.

Jednego dnia zrećnienie się starała wybać Hortensya, zawsze ją posadzając o współnictwo...

Na pierwszą, daleką jeszcze o tem wzmiankę—panna Trocka zakrzyknęła oburzona! Nie godziło się go o to posadzać nawet, był to najbezinteresowniejszy w świecie człowiek.

Panna Pretwiczówna zdecydowana już była wykupić się z tej niewoli.

Krok to był wszakże niezręczny—panna Hortensya musiała o nim zawiadomić pana Karola, który tem większą zemstę poprzysiągł—i siedział. Nie było ani nadziei, ani sposobu pozbycia go się. Wprawdzie dokuczliwy nie był, ale już sama przytomność jego starczyła do popsucia humoru — gdy on przeciwnie ndawał, że był w najlepszym.

Wszystko się tak składało przeciwko woli Ady, a z jej charakteru wypływało, że się tem mocniej npierała, nie chcąc uleść naciskowi, jaki czuła dokoła — Hortensya i Karol już ją dostatecznie męczyli. Robert nie przybywał ale jednego rana zadzwoniono na mszę ranną w kaplicy.

Zdziwiła się gospodyni, posyłając zapytać jaki ksiądz ze mszą przybył? Trafiało się często, iż zajężdali tu zakonnicy z pobliskich klasztorów. Służący przybył z oznajmieniem, iż ksiądz kanonik de Bello przyjechał. Zdziwiło to nieco Adę, — ale wybrała się na mszę. Jak za dawnych czasów, ksiądz wyszedł przed ołtarz, kapliczka była pełna. Tryumfująca i wesola rznając oczyma w koło, w ławeczce swej kłę-

czala panna Hortensya, zdając się mówić wzrokiem Adzie:

— Widzisz, że my na swoim postawimy.

Ze spokojem i rezygnacją modliła się piękna go spodyni. nie dając poznać po sobie, jak ją wzruszało przybycie kanonika. z którym nieuniknioną się zdawała (potem co zaszło) rozmowa i rodzaj przejed nania.

Jak zwykle za dawnych czasów, na kawę przyszedł ksiądz kanonik do salonu, w którym nań już czekała gospodyni. gotując się na rozmowę. Panna Hortensya po pieszyla także, jakby, z rozkazu, znalazł się i pan Karol. Kanonik wszedł z twarzą wypogodzoną, jak gdyby nic nie zaszło i nic się nie zmieniło, powitał i o zdrowie spytał gospodynię, zaczął mówić o swych zatrudnieniach, o nowinach z sąsiedztwa — i pierwsza chwila przeszła bez najmniejszej aluzji do tego co go poróżniło z panną Adą.

Panna Hortensya i Karol dosiedzieli tak długo, iż w końcu gospodyni wyjść musiała, zostawiając ich z kanonikiem. Samo z siebie wynikało, że miał pozostać na obiedzie. Tu znowu osób było tyle, iż do żadnych tłumaczeń przyjść nie mogło, bo teby tylko na cztery oczy odbyć się musiały. Ada sama się w duchu zapytywała:—czy się to może obejść bez ponętej rozmowy i zatrzeć—jakby nie było?

Ku wieczorowi, kanonik zjawwszy swoje mieszkanie zwyczajne w otoczenie, nie ołjechał. Trochę niespokojna Ada wyszła nieco wcześniej do salonu, ale tu już zastała na czatach pannę Hortensyę i Karolinę, przy której siedział cicho rozmawiając Karol, kanonik chodził po pokoju, z dawną ponętą się przyjaśniał domni. Powitał wesoło przybywającą i rozpoczął rozmowę zajmującą od nowin, jakie odebrał z Rzymu, z Francyi i z Belgii tyczących się ogólnych interesów kościoła. Zajmowała go także missya przedsięwzięta do Chin, na którą zbierano składki po całym świecie katolickim. Był to przedmiot, który zawle



gorąco obchodził Adę, gorliwą o to, aby katolicycy misyjonarze protestanckim się wyprzedzać nie dali. I tym razem poczęła się rozpytywać pilno... Ksiądz kanonik opowiadał wiele, czytał odebrane listy i okólniki... Pozostali tak zajęci tym przedmiotem, zupełnie odosobnieni. i ksiądz hrabia, gdyby był chciał, mógłby był łatwo coś powiedzieć o swoim przybyciu, wytłómaczyć je — słówko jakieś napomknąć. A że tego nie uczynił, wniosła Ada, że chciał, aby to było zapomniane. Sama nie miała też ochoty wznawiać nic, ani się okazywać obrażoną.

Puszczono więc w zapomnienie owo nieszczęśliwe znalezienie się dyrektora sumienia, który zupełnie był teraz takim jak niegdyś, i zdawał się też chcieć zatrzeć wspomnienie o niewłaściwym swem znalezieniu się. Ada była rada, że się to tak skończyło, że nadto bijącego w oczy zerwania stosunków mogła uniknąć.

Jednak nie uległa — i jej dawne uczucia dla kanonika nie powróciły; stała mocno przy swoim, aby się nie dać zawojować, nie dozwolić nikomu kierować sobą. Wszystko się składało na to, aby w niej wzmódzić to postanowienie.

Zostawiona sama sobie, gdyby nic się nie sprzeciwiało jej skłomności — byłaby może walczyła z nią i pokonała: znalazłszy opór i zawady — czuła się niemi do walki zagrzaną.

Któż wie? może nareszcie to długo zamknięte serce, raz się otwarło! Ona sama wcale tego nie przypuszczała. Oburzało ją tylko, że chciano swobodę jej ograniczyć, kierować nią, która dla tej samotności poświęciła wszystko. Myśli podobnego zachwalstwa ścierpieć nie mogła...

Z każdym dniem więcej — niecierpliwiło ją też, że Robert nie powracał. Miała mu to za złe, i tłumaczyła sama przed sobą. W końcu gdy Karol nie odjeżdżał, prawie rada była, iż Robert się nie zjawiał. Ale i to nie trwało długo — powiedziała sobie, że po-

winien był wracać, aby jej dać zrzeczność pokazać jaśnie światu całemu, iż wcale nie myśli zważać na to co on mówi i sądzi... Chciała znowu tego powrotu dla Karola, dla kanonika—lękała się, aby jej nie posądzo no, że uległa im i odprawiła go.

Tymczasem Robert, wstrzymany przez ojca, siedział w Żabłiszkach. Pierwszy raz w życiu Ada do świadczała niepokoju, który ją dręczył bezustannie. Nawykła panować nad sobą, otoczona posłusznymi, szczęśliwa w tem co się do niej ściagało, dawniej miała fantazyę, nudziła się, nie doznając tej gorączki niepewności i oczekiwania, która ją niemal upokarzała, stawiając na równi z resztą ludzi.

Dręczyło ją to. Kilkakroć namyślała się, czy nie lepiejby było—nagle, tak jak to już nieraz bywało wybrać się na jakąś wycieczkę za granicę, wprzódby nawet niżby Robert powrócił -- zabawić długo, przemódz się, zapomnieć...

Przychodziło do tego, że chwytala prawie za dzwonek, aby do niej proszono pułkownika, któremu miała dać polecenie do wybornu w drogę: parę razy już na ustach to miała i wymówić—nie mogła.

Lzy jej stawały w oczach nad tą słabością własną, chociaż natury jej przyznać nie chciała. Była to jeszcze fantazyja jak inne, żywsza tylko trochę, bo ją dłuższe i silniejsze poprzedziły nudy...

Tak się to ciągnęło bez zmiany, kanonik wyrażnie do dłuższego pobytu był przygotowany, pan Karol ani mówił o wyjeździe, choć łatwo było dostrzedz, że ręką na temblaku spoczywającą robił wszystko jak zdrową. Pauna Hortensya egzaminowała twarz kunzynki, próbowała ją badać — dobyć z niej nic nie mogła, oprócz wielkiego chłodu i obojętności dla siebie.

Częste narady odbywały się z kanonikiem i panem Karolem, którego choć lekceważono — lecz puszczano go do nich, bo się umiał uczynić potulnym...

Jednego wieczoru właśnie pod pozorem przechadzki wszyscy troje byli w parku—i panna Hortensya zagaiła zwykłą rozmowę.

— Radabym, rzekła — ażeby mi kto tę kobietę wytłómaczył — ja wyznaję w pokorze — ja jej nie rozumiem. Dawnom się wyrzekła nawet nadziei, żeby mi kiedy dostała tego szczęścia...

— Ja zaś pani dawno mówiłem—odezwał się kanonik poważnie, — że dla mnie jej postępowanie zupełnie jest zrozumiałe. Pan Bóg dał jej powołanie do klasztoru — co jawnie się okazuje z jej wstrętu do małżeństwa; — nie usłuchała głosu z góry — wszystko złe z tego pochodzi. W klasztorze nie potrzebowałyby własnej woli, której użyć nie umie. Gdyby była nawet przełożoną, reguła panowałaby nad nią. . Na świecie ona nigdy ani szczęśliwą nie będzie ani w zgodzie sama z sobą.

Karol się nśmiechnął.

— Nie wytrzymałaby nawet... zostawszy kanoniczką — odezwał się — nadto nawykła do pańskiego życia...

— Al ale ona gdy chce—zawołała Hortensya—ochodzi się najprostszemi rzeczami.

— W ten tylko jeden sposób możecie ją państwo zrozumieć — potwierdził kanonik.

— Mnie się zdaje, że zamażpójście równieby na to pomogło, jak klasztor — rzekł pan Karol. W niem także swojej woli by uczynić mogła ofiarę na ołtarzu, ale nie przed ołtarzem dla Boga nie dla... kogoś tam...

Hortensya zwróciła rozmowę na inny nieco przedmiot.

Mnie się znów zdaje, że się wyczerpały zabawki. Jej potrzeba czegoś nowego.. Uczyć się rzeźby—bodajby nagle zajęć gorąco fotografią.. albo chemicznemi doświadczeniami.. 'Toby ją nleczyło.

— Tak, na chwilę—to są palliatywa — mówił kanonik. Bądź co bądź, to kobieta z umysłem niepospolitym i niepospolitą też ambicją. Ona powinna założyć

institucję jakąś, stanąc na jej czele. kierować — toby ją tylko mogło pochłonąć i dostarczyć pokarmu na całe życie dla tej duszy spragnionej czynnem, a obumierającej w bezczynności.

Hortensya się nie śmiała sprzeciwić.

— Ja tam w głębokie analizy się nie wdaję — odezwał się Karol z pół uśmiechem. Od niedawna mam szczęście znać bliżej pannę Adę — ale to dla mnie pewnikiem, że ona się nudzi. a my jej zabawić nie umiemy.

— Mais elle est inamusable! przerwała panna Hortensya — to co ją wczoraj uszczęśliwiało. jutro w kąć rzuca...

Kanonik szedł z głową podniesioną patrząc po drzewach, i nie chcąc się już więcej mieszać do tych rozpraw.

— Jabyś miał prawo — mówił Karol — szczególnie się na szanowną kuzynkę uskarżać. Jest dla mnie grzeczna, ale nie miałem szczęścia nawet na kwadrans uwagi jej zwrócić na siebie. Załedwie mówić zaczął, już myśli o czem innem i patrzy gdzieindziej... Do rozpaczki mnie to przyprowadza. Traktuje mnie jakbym nie był godzien rozmowy...

— Parti prisi! szepnęła Hortensya — udawanie — nic więcej. Gdy chce, tak gra komedię — jak wszystkie kobiety...

— I pani? podchwycił Karol.

— I ja — wszystkiesmy zmuszone na tym świecie, pod panowaniem waszem, przebiegłością brak siły wypełniać!

Kanonik nawet, słysząc to wyznanie uśmiechnął się nieznacznie. Zbliżali się tak z wolna ku pałacowi i przedmiot się wyczerpywał, gdy panna Hortensya, której oczy biegające, zawsze najpierwsze dostrzegły każde nowe zjawisko — zobaczyła na werandzie pannę Adę rozmawiającą z jakimś mężczyzną...

Drgnęła cała, i ręce jej mimowolnie klasnęły... stanęła... Spojrzeli na nią.

— Jestem pewna. że Robert przyjechał! krzyknęła nie kto inny — to on — poznaję go po figurze... Tak! on! on — niezawodnie! Patrzcie — patrzcie — jak się pochyła ku niemu, co za ruchy ożywione!... A! on!! Śmieję się... zapomnieli nawet. że na nich ludzie patrzeć mogą... Ale to... mais cela n'a pas de nom!

Ks. kanonik zaciąwszy usta patrzył z daleka. Karol chciwie wyciągał szyję i posługiwał się lornetką, aby przyjrzeć się lepiej. będąc pewien. że gdy się zbliżą. spłoszą tę czułą parę. W istocie Ada i tylko co przybyły Robert tak sobą byli zajęci — iż nie widzieli nic więcej nad siebie — a może i wśród tłum, w tej chwili zazdrosne oczy nie wieleby dla nich ważyły... Hortensya. kanonik. Karol. zakryci byli gałęzmi starej lipy, przez której liście mogli się przypatrywać, nie będąc widziani. Stali tam jak przykuci. książdz kanonik z wyrazem politowania. Karol szyderskiej ciekawości. Hortensya gniewu prawie. Ona pierwsza, widząc jak Robert poruszony. szczęśliwy. opowiadał cos śmiejącej się i rozpromienionej Adzie ruszyła się z miejsca.

— Ale chodźmyż! zawołała — czyż damy im tak tan-dressy sobie prawić!... Chodźmy...

Ruszyła się pierwsza. kanonik po pewnym namyśle. dobył z kieszeni małego brewiarzyka i uszedł w boczną ulicę. Karol zaciekawiony mocno szedł w ślad za niepiękną kuzynką. z którą samotny spacer ani jej ani jego kompromitować nie mógł...

Zdawało się. że rzutem oka bystrym Ada spostrzegła nadchodzących z daleka — lecz ani się ruszyła z miejsca. ani zmieniła postawy — głośniejszy tylko nieco mówić i śmiać się poczęła. usiłując dobry humor. którego od dawna nie okazywała, uczynić jak najjawniejszym. niewątpliwym.

Można sobie wystawić — jak to gniewało pannę Hortensyę. która prawie do krwi zagryzała usta. Karol się śmiał. lecz kwasno.

Zbliżyli się do werandy. i Ada dopiero teraz niby ich spostrzegła... Zwróciła się do Hortensyi wesoło.

— Widzisz kochana kuzynko, odzyskalismy dezertera... pan Robert z powrotem. Pomimo różnych przypuszczeń pułkownika, ja nigdy wierzyć nie chciałam, żeby nas p. Jazyga się wyrzekł...

To mówiąc, zaprezentowała nie Roberta panu Karolowi. lecz przeciwnie. Wprawdzie jako knzyna domu należało go przedstawić — lecz... knzyn miał się za coś tak wyższego... iż go to dotknęło. Zmierzył oczyma ciekawemi Roberta, który grzecznie i uprzejmie mu się uklonił. Stojąca z boku Ada pilnie to pierwsze spotkanie badała... zdało się, że chciała wzaajemnie ich myśli odgadnąć.

Karol nasłuchiwał się był tyle i tak różnych rzeczy o tym parobczaku od panny Hortensyi — iż pod wpływem ich miał o nim wyobrażenie, którego pierwszy rzut oka wcale nie potwierdził.

Wystawiał go sobie niezgrabnym i ograniczonym, a znalazł naturalnym, —i same oczy, czoło, wyraz twarzy o pojętności świadczyły. Przy tem Karol nie mógł zaprzeczyć, że chłopak był bardzo piękny, świeży i miał w sobie wszystko co się kobiecie podobać mogło... Znać było przy nieśmiałości pewnej. która mu wdzięk dawała — wyraz siły i energii. nie popisującej się z sobą. ale siebie świadomej.

Pan major nie bardzo go uapędział do książek. ale to męzkie wychowanie, które na nabyciu zręczności do jazdy, strzelby, pływania .. zależy—doprowadził do najwyższego stopnia doskonałości. Na Robertcie widać to było, że się niczego nie zleknie. Pan Karol zrozumiał to — i niezuł dlań—nszanowanie.

Doznał zupełnego zawodu — i to go w pierwszej chwili zmieszało.

Ada. jakby umyślnie. nietylko się nie tała z tem, że gość jej był miły i pożądany, ale ze szczególną troskliwością ciągle się kn niemu zwracała..

Zaledwie przerwana rozmowę z nim, rozpoczęła znowu, — a co gorsza, nie dając się do niej wmieszać drugim, poczęła się z nim przechadzać po werandzie.

Oczy panny Hortensyi rzucały pioruny, Karol szydersko popatrzywszy na tę parę, siadł i zaczął jakieś album przeglądać, ale więcej patrzył na przechadzających się niż na nie.

Mówiłam panu — odezwała się Ada, gdy w przechadzce zbliżyła się ku stolikowi, przy którym siadł pan Karol — mówiłam, zdaje mi się panu, że pan Jazyga jest moim najmilszym sąsiadem... Nie wątpię, że przy bliższem poznaniu, kuzyn podzielisz moje zdanie...

Karol się kłaniał uśmiechając — a choć nie mówił nic, patrząca nań Ada mogła szyderską odpowiedź wyczytać. Lecz brawowała widocznie — wzrok jej się nie cofnął... stała śmiała... wyzywając cały świat do wojny...

Że panna Hortensya nie omdlała — stało się chyba cudem wielkiej potęgi jej nad sobą. Weszła panna Karolina, przywitał ją zarumienioną Robert, zaczęli się inni schodzić na herbatę i gospodyni milego gościa musiała opuścić. Ścisnął go radując mu się pułkownik, cieszył się nim Obłęcki, witali wszyscy... nawet służdy — serdecznie i przyjacielsko. Kanonik tylko wszedłszy, zatrzymał się z dala i skłonił, trzymając w tej odległości, z wyraźnym, odstręczającym chłodem... nie dając do siebie przystąpić bliżej.

Robert też nie miał do tego najmniejszej pretensyi... Przy herbacie zwykle po prawej stronie gospodyni siadał kanonik, po lewej panna Hortensya... zaraz za nią pan Karol. Gospodyni przeprosiwszy kuzynę, miejsce jego oddała gościowi. Wszystko to drażniło... Po twarzach przytomnych, widać było przelatujące płomienie i bladłość... spoglądali ku sobie sprzyśliczeni, oczyma sobie dając znać co się to działo za okropności.



Najokropniejszem było podobno to, że gospodyni wcale się nie mieszała. nie troszczyła o nikogo. rozpytywała o majora. o Żabliszki, o okolice, o zajęcia jakie tam miał, o to jak znalazł Zahaje, — słowem mówiła z nim, o nim i zajęta była nim tylko.

Oprócz pułkownika, który się ochoczo mieszał do tej rozmowy i pomagał do niej — reszta towarzystwa niema. pomieszana. przybita, nieśmiała ust otworzyć. Nigdy nie przypuszczano, aby po scenie z kanonikiem. w obec Karola. Ada się dopuściła takiego otwartego buntu...

Było to prawie przyznanie się do słabości — do stosunków, które — na sąsiedzkiej przyjaźni ograniczyć się nie mogły.. Jawne to było.

Przy herbacie panowała zawsze swoboda zupełna, siadał i wstawał kto kiedy chciał. Nie mogąc wytrzymać. pierwsza pierzchnęła panna Hortensya. a Ada znak dała Jazydze. ażeby zajął jej miejsce. bliżej jej krzesła!

Zobaczywszy to kanonik. z powagą wielką, z wolna, w okno się popatrzywszy, wstał także i wyszedł na werandę.

Pośpieszyła za nim panna Trocka.

— A co? a co? zawołała — słicznie! Nie ma co mówić—przynajmniej elle a le courage de son opinion! Nie kryje się, nie tai... Cóż tu dodać? Nie jest-że to jawne, oczywiste? Miałam ja rację czy nie?

— W istocie — odezwał się kanonik cicho z wyrazem smutku—tegom się nie spodziewałem..

— Nie ma najmniejszej wątpliwości! myśli się wydać za niego! Ciągnie go sama! Elle fait des avances! Żadnego wstydu, najmniejszego pomiarowania!! Przy księdzu kanoniku, o którego wie zdania, przy Karolu, który tu reprezentuje familię — w obec ludzi dworskich... kompromituje się rozmyślnie... chłodno...

— Przyznaję—odparł ks. de Bello — że i ja zaczynam wierzyć, iż to jest rzecz seryo!

— Tak seryo—że jeśli familia nie chce, aby się stało nieszczęście, upokorzenie, — powinna wcześniej stać się zapobiedz... W tem usposobieniu jak ona jest, możemy jednego pięknego poranku posłyszeć, że się zaręczyli, albo dowiedzieć, że im kto dał ślub... A cóż? Indult sobie wyrobią...

Żywo, zakaszliwając się, krztusząc mówiła panna Hortensya. Ksiądz zadumany słuchał.

— Ale przecież mamy niby opiekuna?—dodała...

Ksiądz ramionami poruszył.

Panna Pretwiczówna miała rzeczywiście przydanego jej prawem opiekuna, ale ten się nigdy do niczego nie mieszał. Raz w rok przyjeżdżał do Ruskowa, bawił dni kilka, polował z pułkownikiem, rozmawiał z pupilką i do swej rezydencji powracał. Tym opiekunem był pan radca tajny, którego niekiedy z powodu rangi i generałem nazywano, choć nigdy w wojsku nie służył. Część znaczną życia spędził on w Petersburgu, teraz odpoczywał na wsi. Człowiek to był wielkiego świata, ogłady wielkiej, w towarzystwie bardzo miły, lubiący życie i umiejący je sobie urządzić, majątny bardzo. Krewny matki panny Ady, z prawa krwi na opiekuna był najwłaściwszym. Nie naprzykrzał się wcale wtrącaniem do interesów, lecz znano go z wielkiej dumy rodowej, której nie tail. Arystokratą był w całym znaczeniu wyrazu i wyznawcą tej zasady, że są uprzywilejowane rody, które stanowisko w społeczeństwie wyjątkowe zajmować muszą.

Wspomnienie o opiekunie, z razu przyjęte obojętnie przez kanonika, dało mu do myślenia — znał go niewiele

— Czy pani sądzisz, że opiekun mógłby tu coś — zrobić? że jego słowoby ważyło?

— Jeżeli czyje to jego! odparła panna Hortensya... Ja tam nie wiem czy się on prawnie sprzeciwić może.

ale Ada go szanuje... ma powagę... Gdybyś kanonik napisał do niego!

— Ja? wstrząsając się zawołał ksiądz — ja! — ale proszę mi dać pokój! Ja się tu do niczego mieszać nie chcę. Pisz pani. niech pisze szambelanowa. Kto się podoba—ja! nigdy w świecie!

Hortensya popatrzała nań z gniewem prawie.

— Naturalnie — odezwała się — na mnie spada wszystko. i gniew też na mnie spada. Nikt się nie chce mieszać. wszyscy umywają ręce...

Kanonik począł się przechadzać po werandzie. nie odpowiadając wcale... Przez okna salonu widać było, jak wstający od herbaty weszli do niego. a na przedzie Ada wiodąca za sobą Roberta.

Szedł za nią z twarzą, na której szczęście się malowało—zapomniawszy o Bożym świecie.

Być może, iż na przyjęcie jego tak nadzwyczaj serdecznie wpłynęło to, że pani domu okazać chciała. iż się niczyich oczu nie lęka; — lecz i to pewna. że nierzawszy go zapomniała się — nie była panią siebie. Gdy wszedł do salonu. była sama, zarumieniona postąpiła parę kroków. i bez myśli wyciągnęła mu ręce obie. Było to poruszenie serca. Robert chwycił je całując. tak—że mu je wyrwać musiała...

— Tak bawiłeś długo! — szepnęła — a ja — a my... Ale cóż pana wstrzymywało?

— Ojciec — rzekł Robert — musiałem być posłuszny...

— I zmizerniałeś pan...

— Bom tęsknił...

Spojrzała mu w oczy.

— Tęskniłeś pan?

— A! pani — czyżbym mógł nie tęsknić do Ruszkowa...

— A — a Ruszków — wierz mi—dodała cicho—tęsknił także do pana...

Dopiero tych słów domówiwszy, powstrzymała się Ada—i zwróciła...

— Mam bardzo nudnego gościa, rzekła żywo. Jest to kuzyn mój — miły bardzo człowiek, ale jak piórko lekki... jak osa złośliwy... z którym proszę pana być — grzecznym, ale ostrożnym. Gdyby chciał być bardzo serdecznym, co być może — nie dawaj się chwycić za serce. W progu przestrzegam pana... ale... tak wypadło... Radam, że to uczynić mogę.

— Jak się ma ojciec?

— Zdrow! dziękuję.

— Przecież nie myśli mi pana złąd odebrać? przesadzić do Żabliszek?...

— Zdaje się, że projekt na teraz zamiechany...

Ada odetchnęła, i poważniej, jakby z obowiązku zaczęła ncznia słuchać egzaminu z książek, które mu dała na drogę, wywołując jego zdania... badając myśli. Kilka razy widocznie się ucieszyła trafnością sądu — a była tak nposobiona, że wszystko widziała jasno i różowo.

Robert chciał po herbacie odjechać — zatrzymano go koniecznie na wieczerzę — musiał pozostać... Nie zmienił się humor gospodyni, owszem zdawał się pod budzonym więcej. Mówiła wiele z npodobaniem, jakby dopiero teraz zyskała słuchacza — godnego, by mu swe myśli zwierzyła. Pan Karol, który ją widział dotąd milczącą, pogardliwą, ze zdumieniem słuchał. Zmiana była dla wszystkich jawna...

Robert mikał objawiania się ze zdaniem, — obawiając się Karola, który siedział jak zaczajony. Parę razy tylko coś szyderskiego pół głosem wtrącił.

Dosyć późno rozeszli się wszyscy... Pułkownik zabrał jeszcze z sobą do dworu Roberta, chcąc z nim pomówić o majorze, gdy niespodzianie przyplątał się do nich pan Karol.. Chciał bliższą zrobić znajomość z Jazygą i siedł z wesołym humorem, udając dobrego koleżkę.

Robert był przestrzeżony, — grzecznie, ale ostrożnie się stawiał.

Pułkownik, który dosyć lubił gościa kuzyna. na próżno chciał ich zbliżyć do siebie. Na folwarku po kieliszku wina wypiwszy.. rozeszli się. bo Robert, jak mówił—do gospodarstwa pośpieszał...

Gdy tego wieczoru Ada usiadła w swoim pokoju — z płonącą twarzą, z bijącymi u skroni pulsami, poruszona, niespokojna — oczy jej skierowały się na portret matki... i oderwać się od niego nie mogły...

Wizermek ten dotąd dla niej był przestroga — tego wieczoru stał się groźbą... Lzy zakręciły się w oczach. które otarła co prędzej, otworzyła dziennik swój. wzięła pióro, chciała coś pisać — nie mogła. To co się z nią działo było zbyt dla niej samej niezrozumiałem, aby sprawę ze stanu ducha zdać mogła.

Przychodzi jej na myśl ten moment, gdy zobaczywszy go. wyciągnęła doń rękę obie. gdy mu się przyznała, że tęskniła do niego. Zarumieniła się ze wstydu przed sobą—zakryła oczy.

— Co on pomyśli o mnie? rzekła w duchu — pomyśli, że ja go kocham! Nie — nie! ja go nie kocham — nie mogę, nie będę kochała nikogo! O matko moja! jam ci to przyrzekła i dotrzymam, ale nie mogąc mieć nawet ucznia—nawet przyjaciela! Nic! nikogo! Jestże w tem niebezpieczeństwo..

On wie, że ma przyjaciółkę siostrę we mnie—nie więcej... Nic!...

Wstała uspokoiwszy się trochę, zadzwoniła na służbę. która wchodząc rzuciła na nią wejrzenie, jakieś ciekawe, niedzkie. rozebrała się prosto i łóżkę wzięła do ręki.

Na stoliku leżała jedna z pierwszych powieści p. Sand, w których ona tak gorącemi barwami maluje uczucia, że się namiętnościami wydają...

Zaledwie przeczytawszy kartkę odrzuciła powieść ze strachem... W obrazie rodzącego się uczucia poznawała tak dobitnie swe własne iż ją to przeraziło.

Z bólem głowy położyła się do łóżka, nie mogąc zasnąć. Gniewała się na siebie i płakała. Czuła się nieszczęśliwą, sama nie wiedząc czemu.

Nareszcie sen zamknął powieki, ale marzenie na jawie przedłużały się we śnie... Widziała się w swoim ogrodzie sama z nim. Robert ją prowadził pod rękę... przypadkiem głowę złożyła na jego ramieniu. i było jej niewysłowienie błogo... tak, że milcząc szła dalej, pragnąc z nim iść choćby na koniec świata...

Czuła jak ją objął w pól — pochylił się ku niej i szeptał coś co tak dźwięczało jak muzyka, a słodkie było jak śpiew rajski aniołów

Drżała obawiając się obudzić, że to był sen—to znowu — jakby było na jawie — lękała się, aby ich nie dopatrzono idących razem...

Z za liści błyskały oczy Hortensyi; — w cieniu stał blady ksiądz i śmiał się okropnem szyderstwem. Szczęście obracało się w męczarnię. pierś wzbierała...

Sen się przedłużał, zmieniał... przechodził jakby przez jasne jakieś strefy i czarne otchłanie... Robert znikł, była sama, szukała drogi; do koła otwierały się przepaście... suche gałęzie łamały się pod jej stopami... Nad brzegiem urwiska uczuła znowu jego przy sobie — i całą siłą chwyciła się ramion jego, zawisła na nich płacząc...

Usta jej przez sen wymówiły:

— Tyś mój!

Obudziła się—dzień był biały. .

Siadła znękana na łóżku, z bijącym jeszcze sercem. Sen ten zdawało się uczynił go jej droższym... wypowiedział jej samej, czego ona na jawie wyrzec nie śmiała.

— Tak—ja go kocham! — zawołała ręce łamiąc kocham go. Broniłabym się napróżno, kłamałabym daremnie. Kochać muszę, choćbym cierpieć miała. Takie przeznaczenie nasze. Droga matko moja! i ty miałaś chwile szczęścia w życiu... i ty musiałaś kochać — bo człowiek umrzeć albo miłować powinien...

Ranek był jeszcze tak wczesny, że wszystko spało we dworze... ptaszki swiergotały pod oknem. Ada już zasnąć nie mogła — wstała, ubrała się, otworzyła okno i na świeżem powietrzu chłodziła skronie.

Z tym snem wstąpiło w nią jakby życie nowe... Wszystkie dawne postanowienia złamane, zapomniane zostały... „Powinnam kochać—będę go kochała! niech się dzieje co chce! Niech ludzie mówią co się im podobą...”

Wśród tego rozgorączkowania — nagle wstyd opanowywał jakiś i trwoga... cofała się... Chciała pozostawić wszystko jak było... nie mówić nic, nie okazywać co czuła... Dosyć było jej serca, że pozwoliło sobie kochać i przyznać do tego uczucia...

Oddychała swobodniej...

Sługa przechodząca pod oknem, przelekła się zobaczywszy je otwarte tak wczesnie, — i wbiegła spytać czy pani nie chora, lub czy jej czego nie trzeba?

Zawstydzona nieco, Ada powiedziała jej, że w istocie spać nie mogła... ale się chorą nie czuje—poszła po śniadanie i usiadła do dziennika... Wielkim pióram pociągiem oddzieliła jego poprzedzające karty od następnych, i poczęła od opisu tego snu, który ją do życia obudził...

We dworze, jak zwyczajnie, przez sługi wiadano z rana, że pani całą noc nie spała... wstała o świcie, pisała coś, twarz miała niezwyczajnie zarumienioną, oczy płonące... była czegoś niespokojna. Wiadomość ta doszła ledwie późno przebudzoną pannę Hortensyę, która z niej wnioski sobie właściwe wyciągnęła. Pilno jej było udzielić ich swoim sprzymierzeńcom...

Tymczasem, we wczorajszej rozmowie wpadłszy na myśl uwiadomienia radcy tajnego o tem co się tu zapowiadało — oprzeć się już nie mogła chętnie, intrygantom właściwej, spróbowania jeszcze tego kroku. Wiedziała dobrze, że opiekun jej nie zdradzi, a przy-



jazd też jego po pół roku niebytności nikogo nie za-  
dziwi.

Co najprędzej więc siadła do stylizowania li-  
stu, który wymagał staranniejszej niż zwykle redak-  
cji...

O tejże godzinie przebudzony pan Karol, nie  
spiesząc wstawać, bo nie miał po co, rozmyślał dosyć  
poważnie co mu dalej poczynać wypadało.

Z całą swą lekkomyślnością nie był to zły czło-  
wiek — a miał to w charakterze, że ani w złem, ani  
w dobrem długo wytrwać nie umiał. Nudy, na jakie  
tu był narażony, które zaledwie osładzała nie tyle  
uboga rozmowa z Sensytywą, ile patrzanie na świeżą jej  
buzię — pobyt przeciągający się bez żadnego innego  
widoku prócz satysfakcji, że dokucza — wprawily go  
w nposobienie podobne do zgryzot sumienia.

Zaczynał sobie wymawiać całe postępowanie  
swoje — a bolało go to, że mógł się wydawać śmie-  
sznym. Koniec końcem miał tego dosyć.. Hortensya  
poila go octem i żółcią — kanonik go męczył — Obłę-  
ckiego znał już na wylot... jedna panna Karolina  
go tu trzymała...

Nie był jednak węzeł, któryby go mógł przy-  
knąć na długo.

Gdy przyszło wstawać służący pana Karola  
Paweł, postrzegł pierwszy, że pan był w złym hu-  
morze. a że z nim był otwarty, powiedział mu to...

— Cos pan dziś kwaśny?

— Tak jest, mój kochany — ale też nie na różach  
tu jesteśmy...

— A to czegoż siedziny? mruknął sługa — słowo  
daję, żeby się pan kochał czy co — ale podobno nie...  
A tu na nas patrzą tak, jakby się jednej godziny  
zbyć chcieli.

— Jak ci się zdaje? zapytał Karol — co? pako-  
waćby się? he?

— A! jak Bog miły — żwawo podchwycił sługa.  
któremu tęskno było do kawiarki w Warszawie. bo

się w niej kochał mocno. a nie dowierzał, by nieobecnemu dotrzymała wiary. Co może być lepszego? pakować się i jechać!

Pocałował pana w rękę..

— Jedźmy panie! Ten człowiek uschnie z nudy i ntrapienia.

— Jutro! rzekł pan Karol — sam nie wiedząc dla czego. Ale u niego to tak szło od fantazyi.

Lżej mu się zrobiło. gdy się zebrał na to postanowienie, czarną chustkę za temblak służącą odrzucił, uśmiechnął się do siebie w zwierciadle i szepnął:

— Jedziemy do Warszawy. Dość tego—to nie ma sensu.

Nic nie mówiąc pannie Hortensyi wprzód, Karol się zjawił przy śniadaniu z ręką zdrową i czołem jasnym.

— Nareszcie, rzekł witając Adę, która wyszła nieco błada. skarżąc się na głowę — ręka moja zupełnie zdrowa, pozwala mi kuzynkę od nieznosnej uwolnić załogi. Jutro jadę i proszę o rozkazy do Warszawy. Rozmyśliłem się, że do majątku nie mam po co jechać — tam plenipotent sobie da rady lub nikt już jej nie znajdzie. Co się mam nudzić, wrócić do Warszawy.

Mówił to jakos tak z prosta i bez złośliwości. że Ada z podziwieniem nań spjrzała.

Rezygnacya. z jaką się odezwał o majątku — obudziła w niej współczucie. Była po śnie tej nocy skłonna do miłosierdzia. Karol też odjeżdżając czytnił ją swobodniejszą, czuła się dlań do wdzięczności.

Jutro? jutro chcesz pan jechać? spytała.

— Niezawodnie — potwierdził Karol — czuję, że był nieznosnie natrętnym. a zabawnym być nie potrafiłem...

Ada zbliżyła się ku niemu z wyrazem życzliwości.

— Powiedz mi prawdę — odezwiała się po cichu.. Jakże stoją twoje interesa...? Jesteśmy krewni — możebym ci jaką pomocą być potrafiła...?

Zarumienił się mocno Karol.

— Jesteś doprawdy za nadto łaskawa dla takiego jak ja niegodziwca. Serdecznie wdzięczny jestem za tę myśl samą — ale — niestety! moje interesa to beczka Danaid... Nic i nikt ich nie poratuje — bom ja wcześniej temu zapobiegł i starał się je tak pięknie urządzić! Zatem — nie mówmy o tem.

— Żal mi cię — rzekła Ada z serca, bo serce dnia tego miała otwarte. Żal mi cię szczerze... Tys trochę lekkomyślny.

— A! trochę! Jesteś grzeczna bardzo — ja jestem okrutnie lekkomyślny — znam to do siebie — poprawić się za późno...

— Nigdy późno, panie Karolu...

— Bóg zapłać! całując ją w rękę odezwał się Karol. — Wierz mi — że mnie ratować nie warto... {Nadto długo się gubiłem... Jestem otwarty... to jedno co mi jeszcze zostało ..

Wchodząca panna Hortensya przerwała rozmowę i Karol dezwał się do niej witając:

— Proszę o listy do Warszawy — jutro jadę.

— A toż co znowu?

— Okrutna tęsknota do billardu... Śni mi się... marzę o nim... Stukot kul, chrzęst kijów... zapach sali... nie dają mi spoczynku! Zwyciężony jestem... powracam!

Skłonił się komicznie. Z kątką spojrzała nań panna Karolina i zbladła. Bładość tę dostrzegli wszyscy. choć pochyliła się zaraz do kłębuszków i zaczerwieniła jak wiśnia.

— Otóż — pomyślała oburzona Hortensya — cośmy zyskali... Dziewczynę zbałamucił, nie nam tu nie poradził. i właśnie kiedy parobczak powraca, on się cofa, jakby mu z placu chciał ustąpić.

Gniewno zmierzyla go wzrokiem pogardliwym. Karol już na to nie zważał; rad był, że poczciwy sługa poddał mu myśl tak szczęśliwą.

Kuzyńka zaczęła się o zdrowie Ady dowiadywać dokuczliwie: znajdowała ją mizerną... radziła wezwać doktora; ale gospośia, uśmiechnawszy się smutnie i podziękowawszy jej — oświadczyła, że jest jej lepiej. i że o tak małej niedyspozycji mówić nawet nie warto...

Ze szczególną grzecznością i współczuciem była dnia tego dla Karola, który mimowolnie musiał to przypisywać temu, że ją uwalnia. Prosiła go nawet, ażeby pozostał, ale się na to nie chciał zgodzić. Dzień ten, osobliwszym sposobem, zbliżył ich po długim nieznośnym stosunku. Karol był wdzięcznym. Ada miała nad nim politowanie. Pierwszy raz zawiązała z nim dłuższą rozmowę, a że Karol był w niej złośliwym usposobieniu — więcej się jej podobał. W końcu — odezwała się do niego:

— Gdybys potrzebował pomocy jakiej, a nie miał nikogo... daj mi ten dowód zaufania, byś jej zażądał odemnie...

Mam na sumieniu, że cię może nie przyjęła tak, jak grzeczna i dobra gospodyni powinna... Przypisz to nie złemu sercu, ale biednej fantazyi, humor kobiecym... bo choć ja się wydaję swobodna i niby szczęśliwa...

Nie dokończyła — Karol był poruszony.

— Nie ty, kochana kuzyńko, mnie, ale ja ciebie powinienem przeprosić. Znalazłem się tu nie w porę natrętnym... Ja całe życie robię niedorzeczności, za które żałuję i — poprawę obiecuję.

Podali sobie ręce przyjaźnie... jak nigdy nie było, — i Karol odszedł poruszony, wyrzucając sobie, że się na niej poznać nie umiał.

Czekała na niego już Hortensya, niespokojna, gniewna, nierozumiejąca tego, jakim sposobem stać się tu coś mogło ważnego bez jej porady. Karol.

ktorego ona sprowadziła, wyjeżdżał nie jej o tem wprzód nie powiedziawszy. Zaledwie mogąc pohamować się, panna Hortensya powołała go za sobą. a że na werandzie obawiała się być podsłuchaną, zeszła wiodąc za sobą delikwenta przed pałac do parku.

— Raczyszże mi pan wytłómaczyć, co to wszystko znaczy? Nagle objawiasz pan postanowienie wyjazdu. Zkąd? co? dla czego? właśnie w chwili gdy Robert przybywa? Ułakłeś się go pan czy co?

— Nie, szanowna kuzynko. rzekł żartobliwym tonem Karol: dałem dowody mężstwa siedząc tu tak długo z wami, o tchórzowstwo nie godzi się mnie posądzać — a no dłużej, dłużej mi już wytrwać nie podobna... Nad siły!

— Cóż się stało?

— Nic nowego! Piłem te nudy dopóki mogłem. naos atek miara się przebrała...

— I rzucasz nas tak — nagle.

— Ale raczże mi powiedzieć, na co ja tu jestem potrzebną? pytał Karol.

— Na co? pan się pytasz o to? Gdyby nie więcej toś mógł ją przytomnością swoją powstrzymać od skompromitowania się. Widziałeś jak go wczoraj przyjęła!

— Widziałem i właśnie to mnie przekonało że nie jestem hamulcem, bo panna Ada na mnie uwagi nie zwraca. Po cóż ją i siebie mam męczyć.

Hortensya rzuciła mu piorunujące wejrzenie.

— Otóż to jest nagroda — zawołała — gdy kto, jak ja, poświęca się dla dobra rodziny. Zostawiacie mnie samą, opuszczacie! Nikt nie chce robić nic. Nawet kanonik się uchyła! Zatem chcecie, ażeby Ada sobie ten kamień do szyi przywiązała?

— Szanowna kuzynko — to pewna, że ja wolałbym sam być tym kamieniem, niż inny widzieć u jej szyi. Cóż na to poradzić, kiedy Ada ma swą wolę... i — nikogo słuchać nie myśli!

Nie tyle mowa co ton szyderski i obojętny. w rozpacz wprawiły Hortensyę.

— Zatem pamiętajcie co ja wam mówię — pamiętajcie. Wszystkie nadzieje jakie rodzina pokładała na uiej. są stracone. Pójdzie za mąż! pójdzie. A wy. wy jedni temu winni będziecie. Piszę do szambelanowej. która mogła przyjechać tu sama i wpłynąć na nią; ta woli grać w wista spokojnie. i nie raczy się ruszyć... a wyprawia mi tu... kogo?? — Nie dokończyła.

— Tak, masz kuzynko słusznosc. przerwał Karol: najnieudobniejszego. najniezgrabniejszego z ludzi, który do tej roli wcale nie był stworzony!! — Mówimy otwarcie. bądźmyż całkiem szczerzy: — ja więcej mam sympatii dla Ady. niż jej mam za złe to co czyni... Na jej miejscu postąpiłbym sobie podobnie.

— A! a! pan! pogardliwie odparła Hortensya — pan.

— Ciekawosc mnie tu sciągnęła — a wyczerpanie cierpliwości odpędza — mówił Karol. Widziałas kochana kuzynko. jak mnie tu przyjęto. *comme un chien dans un jeu de quilles*... Uśmiechałem się, udając, że to mi wszystko jedno — w końcu...

— No. to jedź, jedź pan sobie — bośmy tu z uiego wielkiej pociechy nie mieli. A możebys i Karolinę z sobą zabrał. która ci się tak podobała! dodała ramionami ruszając...

Prawdziwie terazniejszego swiata zrozumieć trudno! mówiła szydersko. Ada. osoba wykształcona. rozmiłowniła się w parobczaku... a pan Karol. ozdoba salonów warszawskich. człowiek dowcipny. rozumny... lubni je się w towarzystwie jednej gąski jak Karusia!!

— Pani — zawołał śmiejąc się Karol — głębokie uczyniłaś postrzeżenie: *les extrêmes se touchent. les contraires s'attirent.*

— Zakochałaś się w Karolinie?

— Pokochałem ją — poprawił Karol — i gdybym... ale nie mówmy o tem.

Złosliwie rozśmiała się raz jeszcze panna Hortensya. szarpnęła chusteczkę, którą w rękę trzymała — ukłoniła mu się z powagą przesadzoną, i — odeszła. — Karol śmiejąc się skierował w drugą stronę. Tego dnia jakoś lekko i wesoło mu było.

Nazajutrz po śniadaniu, konie stały przed ganikiem do odjazdu gotowe, a pan Karol, dowcipny jak nigdy, serdecznie żegnał się ze wszystkimi. Ada sama pamiętała o wyprawieniu go w drogę; poleciła także pułkownikowi, aby pamiętał o jego potrzebach, i wyprowadziła go wesoło na ganek, polecając mu ukłony dla szambelanowej...

W Ruskowie pozostał znowu dwór tylko po dawnemu, domowi sami, i życie weszło w karby zwyczajne.

Ada była wesoła, ożywiona i czynna... Dawno jej taką nie widziano. Ze wszystkiego nawet była kontenta i chwaliła wszystkich, co się trafiało rzadko. Pogoda jakaś i jasność patrzyły z jej oczu i czułą młodością nową odżyła. Humor ten budził w kuzynce najokropniejszy gniew i oburzenie. Patrzyła ruszając ramionami i — z dala tylko przycinając.

— Prawdziwie, żem cię dawno nie widziała tak ożywioną — mówiła... zazdroszczę ci.

Ada spojrzała z politowaniem na nią.

— Znajdujesz? rzekła

— Znajduję, że od dwóch dni nadzwyczajnie jesteś zmieniona, i cieszyłabym się, gdybyś wierzyła, że to trwać może...

— A dla czegożby nie miało trwać? spytała Ada.

— Dla tego, że u drogiej mojej pani nigdy żadne usposobienie długo nie trwa, a tem mniej tak szczęśliwe.

Gospodyni westchnęła z lekka, ale uśmiezek błędził po jej ustach, oczy miała pełne wyrazu czułości, jakiejs niezwykłej, wahała urwaną gałąź-



kę jaśminu i... dumala. Postać jej nawet dnia tego wdziek miała szczególny... Hortensya scigała ją oczyma...

— Czemuż to przypisać tę zmianę tak szczęśliwą? szepnęła.

— Nie wiem — żartobliwie dodała Ada — pogodzie może...

— Odjazdowi Karola?

Wątpię.

Powrotowi pana Roberta? wtrąciła złośliwa...

— Dla czegoż nie? to mogło wpłynąć także... Nawykłam do jego towarzystwa — miłe mi jest... Czy pragnęłaś. bym to wyznała?? nie taję.

— Ale, gdybyś się zaparła nawet—dorzuciła śmiejąc się sucho Hortensya — cóżby to pomogło? Wszyscy to widzą... Nie umiesz się ukryć z niczem.

— Powiedz. że z niczem ukrywać się nie chcę — i nic nie mam do ukrywania — śmiało odezwała się Ada. Cóż komu do tego!...

— A! p a r d o n ! — gwałtownie zaprzeczyła Hortensya — uam. co ciebie kochamy... bardzo — do tego!!

— Kochacie mnie? powolnie, szydersko powtórzyła Ada... Kochacie! A! bardzom wam wdzięczna za to: ale. proszę was, niech się ta miłość nie opiekuje mną! Dziekiem nie jestem, wiem co czynię .. no — i lubię być swobodną!

— A! ktośby śmiał na twą swobodę się rznać i zaprzeczać ci jej?—ale kochające serca...

Ada skłoniła się. gałązkę jaśminu przyłożyła do twarzy. i nagle obejrzawszy się. nchyłając zasłonę werrandy, po niebiosach—odezwała:

— Pogoda — sliczna! mam wielką ochotę do samotnej przechadzki!! Gdybym się miała opóźnić na herbatę, nie czekajcie na mnie...

Hortensya nic nie odpowiedziała. Ada po cichu nuncąc piosenkę jakąś Mendelssohna — oddaliła się z wolna. Przyszło jej na myśl odwiedzić jeszcze raz

Kasię. Chciała się przekonać, czy teraz to szczęście w chatce, z którego się śmiała, któremu się dziwiła— równie śmiesznem i dziwnem wydawać się będzie...

W dziedzińcu na psy swoje zawołała, które się zerwały wesoło jak pierwszym razem... Oblęcki wyglądał oknem z oficyny.

— Pani sobie może komu każe towarzyszyć? spytał.

— Tak! żebym w ciągu przechadzki musiała go bawić rozmową, a on mnie! Ja właśnie chce myśleć. milczeć i być sama z sobą. Panie Mirosławie, jeśli się opóźnię — pójcie bezemnie herbatę.

To mówiąc ruszyła krokiem szybkim ku lasowi. .

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



Biblioteka Raczyńskich

JIK 1



JIK0001